Cena 15 zł.

ZDROJ

KULTURA - ŻYCIE - SZTUKA

ROK I | LUBLIN, 1 MARCA 1947 R. | Nr 3 (28)

TREŚĆ NUMERU:

JANINA PLISZCZYŃSKA
AMICUS PLATO, SED MAGIS AMICA VERITAS
KALIKST MORAWSKI
TWÓRCZOŚĆ LITERACKA CERVANTESA
KAZIMIERZ PIETKIEWICZ
ART. MALARZE A WIEŚ POLSKA
IULIUSZ KURZĄTKOWSKI
PLASTYKA A SPOŁECZEŃSTWO
CZ. JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI
W OBCYCH ZWIERCIADŁACH
STANISŁAW PAGACZEWSKI
DZIEJE JEDNEGO MIASTECZKA
STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI
O MUZYCE JUGOSŁOWIAŃSKIEJ
LIST DO REDAKTORA „ZDROJU"
RECENZJE KSIĄŻEK
GŁOSY O „ZDROJU"
PRZEGLĄD CZASOPISM

JANINA PLISZCZYŃSKA

AMICUS PLATO, SED MAGIS AMICA VERITAS

W związku z artykułem p. N. Łubnickiego pt: „Materializm a idealizm" (III) nasunął mi się szereg refleksyj, które tu przedstawiam.

Przede wszystkim w imię ścisłości naukowej muszę sprostować pogląd, jakoby Epikur był ateistą. Powołuję się tu na pracę najlepszego w Polsce znawcy Epikura, p. prof. dr A. Krokiewicza, który w swej wyczerpującej monografii pt: Nauka Epikura (r. 1929 Polska Akademia Umiejętności) przedstawia wyczerpująco teologię Epikura. Oto, co mówi on na str. 250: „Teologia Epikura stanowi najzawilszą część nauki filozofa. **Pobożność arcymistrzá,** pomawianego o obłudę już przez starożytnych, wydawała się długo nieszczerą także w czasach nowszych, a kiedy się z nią w końcu pogodzono **pod naciskiem zachowanych świadectw,** jedni uczeni usiłowali ją wytłumaczyć alegorycznie inni się zniechęcili mniej lub więcej wyraźnie, a tylko niektórzy próbowali rzecz przeniknąć..." W podanym tamże, na str. 254 liście do Merzejkeusa czytamy słowa samego Epikura: „Wierz przede wszystkim, że bóg jest tworem niezniszczalnym i szczęśliwym... i wierząc tak, strzeż się go kalać czymkolwiek, co by bluźniło owej niezniszczalności lub co by mąciło owo szczęście. Myśl natomiast o nim wszystko, co warujo jego szczęście wraz z niezniszczalnością. Albowiem **bogowie są.** Ta świadomość nie pozostawia ni cienia wątpliwości. Nie są jednak takimi, jak sobie roi gmin".

Nie wchodzę tu już w szczegóły nauki, która głosi byt doskonały i nieśmiertelny szczęśliwych bogów w wiecznych międzyświatach kosmosu. W żadnym przypadku jednak Epikur ateistą nie był.

Psychologiczne rozważania genezy uczuć religijnych ograniczył p. N. Łubnicki do stwierdzenia, zresztą dość pobłażliwego, że „są one potrzebne pewnemu typowi ludzi po to, by mogli w sposób bardziej sensowny i pełny ułożyć sobie życie, by czuli nad sobą opiekę w chwilach niedoli...", krótko mówiąc, uczucie religijne jest potrzebne człowiekowi słabemu, stąd wniosek, że człowiek, niepotrzebujący opieki, silny i świadomy swych celów, nie potrzebuje religii?! Otóż, ta analiza psychologiczna nie jest zgodna z naturą ludzką. Religijni bywają i ludzie słabi i ludzie mocni. Nie wchodzę już w to, co nazywamy słabością, a co siłą, i co nią jest właściwie, bo np. taki Sokrates już w V w. przed Chrystusem w „Gorgiaszu" Platona mówi, że „większym nędzarzem jest ten, co wyrządza krzywdy, niż ten, co ich doznaje, i ten, którego kara nie spotyka, niż ten, który ją poniesie", a brutalny nadczłowiek nietzscheański nie reprezentuje ani moralnej siły ani umysłowej. Pomijam także tę okoliczność, że człowiek o sobie nigdy nie może powiedzieć, że jest dostatecznie silny, gdyż często pod naciskiem wewnętrznego „mare tenebrarum" pęka niespodziewanie obręcz woli i siły. Pokora chrześcijańska nie jest sztucznym tworem, jest naturalną postawą rozumnego człowieka. Idzie mi przede wszystkim o to, że analiza psychologiczna p. N. Łubnickiego nie wyczerpuje zagadnienia. Naczelnym bowiem motywem psychologicznym religijności człowieka jest potrzeba adoracji, która każe człowiekowi paść na kolana przed Istotą doskonałą, nieśmiertelną, będącą wiecznym i idealnym dobrem, pięknem i prawdą. Ludzie najżarliwszej wiary modlą się do Boga, jako do swego najwyższego ideału; św. Augustyn w swych „Soliloquia" woła w chwili najgłębszej modlitwy: „Te invoco, Deus veritas..., Deus sapientia.... Deus bonum et pulchrum, in quo et a quo et per quem bona et pulchra sunt, quae bona et pulchra sunt omnia" albo: „Deus pater veritatis, pater sapientiae, pater verae summaeqe vitae, pater beatitudinis, pater boni et pulchri"...

Autor artykułu uznaje wysoką wartość uczuć religijnych, nie wypowiadając się co do ich **przedmiotu, podobnie** jakgdyby można uznawać wartość uczuć estetycznych nie mając pozytywnego stosunku do pojęcia piękna. Można słusznie i bezna miętnie stwierdzić, że nie da się dowieść naukowo, że Bóg nie istnieje; można stwierdzić, z całą ścisłością, że ateizm jest postawą uczuciową, a nie umysłową. Natomiast wszelkie dane obiektywne prowadzą ludzkość do naukowego odkrycia Boga. Gwałtowny rozwój nauk przyrodniczych i astrofizyki prowadzi nieuchronnie do tego oszałamiającego wniosku. Wiedza o niezmiennych prawach kosmosu i boskiej jego harmonii, wiedza o świecie pozornej materii, która jest tylko potężnym złożem związanej energii (o czym już przed wiekami mówił Arystoteles) — a rozbita staje się potworną, niebliczalną siłą — przygotowały ludzkość do zrozumienia słów Pisma Św.: „Na początku było Słowo (Logos)". Owa wszechmocna, wszechogarniająca świadomość twórcza — Boża — to ów Logos. Widok ładu w Kosmosie i uwielbienie dla Stwórcy wszechrzeczy natchnęły Newtona do odkrycia owych wspaniałych praw, jak sam o tym mówi w swej optyce (vide M. Popławski, „Newton"). Tworzenie zaś życia organicznego nigdy nie stanie się udziałem człowieka, choćby poznać najniższe szczeble ewolucyjne świata żyjącego, boć np. takie wirusy, o których tak głośno rozprawiają zwolennicy mechanistycznej teorii życia, są już przecież ukształtowanymi, choć niezmiernie maleńkimi organizmami. Przejście od świata nieorganicznego do organicznego jest i będzie stale wielką bożą tajemnicą, co zresztą nie przynosi wstydu nauce.

Ludzkość nie może wyrzec się i nie wyrzeknie się nigdy samego w sobie, ani prawdy bezwzględnej, choćby to było nonsensem, zdaniem p. N. Łubnickiego, gdyż cechą natury człowieka jest dociekanie prawdy, zarówno jego życia wewnętrznego, jak prawdy wszechświata. Człowiek głęboko wierzący dążyć będzie i musi dążyć zawsze do naukowego uzasadnienia i dowiedzenia prawdziwości swego wierzenia.

Nie sądzę, aby było sprzeczne z nauką stwierdzenie irracjonalności, a raczej superracjonalności (w granicach rozumu ludzkiego) pewnych zjawisk życia organicznego na ziemi i ładu we wszechświecie, natomiast wydaje mi się nienaukowe — usiłowanie wytłumaczenia w sposób pozornie rozumny tego, czego się wytłumaczyć faktycznie nie da (np. teoria doboru).

Wizja artystyczna Michała Anioła, na freskach Sykstyny przedstawiona, jest jednocześnie najbardziej trafną ilustracją naszej wiedzy o wszechświecie. Oto Bóg Ojciec wielkim zamachem ramienia powołuje z mgławic rodnych Światy. On też na drugim fresku powołuje do życia Adama. Cóż za kontrast między rozbujałą, pełną twórczej energii, postacią Boga Ojca, będącego czystą świadomością, mocą wolą samorodną, a postacią człowieka całkowicie już ukształtowanego, lecz bezwolnego, nieświadomego siebie; dopiero dotknięcie elektryczne Stwórcy powołuje go ze snu materii do życia ducha: bezwolna ręka Adama, dotknięta przelotnym ruchem palca Bożego, to symbol człowieka.

Bywały już różne aspekty religijności ludzkiej: fantastyczne i mistyczne. Nasza epoka odkrywa Boga w nauce.

Janina Pliszczyńska

SŁOWO OD REDAKCJI

Zamieszczony w Nr 1 wznowionego „Zdroju" artykuł Dr Narcyza Łubnickiego, profesora UMCS w Lublinie, pt.: „Materializm a idealizm" — będący trzecią i ostatnią częścią całości, której części I i II ukazały się na łamach „Zdroju" przed zmianą redaktora pisma — wywołał w sferach naukowych i społecznych Lublina żywą reakcję. Wyrazem tego były głosy i listy, nadesłane Redakcji.

Zamieszczając w numerze trzecim artykuł Dr Janiny Pliszczyński j, wykładowcy KUL, polemizujący ze stanowiskiem Dr Łubnickiego, podkreślamy raz jeszcze nasze stanowisko, zajęte w artykule wstępnym (Nr 1 (26): dając możność wypowiedzi autorom o różnych poglądach na świat nie chcemy tym samym stwierdzić, że poglądy wypowiadane przez piszących w „Zdroju" są zawsze zgodne z poglądami Redakcji. Dając pełną swobodę wypowiedzi Redakcja rezerwuje sobie prawo zamieszczania artykułów polemizujących, traktujących to samo zagadnienie ze stanowiska zupełnie odmiennego.

O człowieku silnym

SOKRATES: Więc, panie dobry, powiedże już raz nareszcie, których to nazywasz lepszymi i silniejszymi i na jakim punkcie?...

KALLIKLES: ...Człowiek, który ma żyć, jak należy, powinien żądzom swoim puścić wodze; niechaj będą jak największe i nie powściągać ich... Jeśli się ktoś szczęśliwym trafem urodził synem królewskim, albo miał zdolności i dorwał się do jakiegoś berła, czy tronu tyrana, czy autokraty, to cóżby u takiego człowieka mogło być brzydsze i gorsze, niż panowanie nad sobą? Toż wolno mu używać dobra wszelakiego, a on by sobie samemu pana miał nakładać w postaci prawa i mniemania i szemrania tłumu? Czy nie musiałoby go nędznikiem zrobić to całe piękno sprawiedliwości i panowania nad sobą, gdyby zgoła nie przydzielał więcej własnym przyjaciołom niż wrogom, i to, będąc panem we własnym państwie? Nie, Sokratesie; bujne, szerokie życie, bez hamulca i bez pana nad sobą, byle było skąd, to jest dzielność i szczęście, a ta reszta, to świecidełka, to ludzkie konwenanse przeciw naturze, to głupstwa, o których i mówić nie warto.

SOKRATES: Ty teraz jasno mówisz to, co i inni myślą, ale powiedzieć tego nie chcą. I powiedzenie: żądz, mówisz, zgoła powściągać nie należy jeśli ktoś ma być, jak potrzeba, tylko im pozwolić, niech będą jak największe, a zaspokojenia im szukać, wszystko jedno skąd, i na tym polega dzielność?... Mnie się to wydaje, Kalliklesie, że dzielność każdej rzeczy i sprzętu i ciała i duszy także i każdej istoty żywej nie bierze się tak prześlicznie ni stąd ni zowąd tylko wymaga porządku i należytego stanu i sztuki, która każdemu z nich odpowiada. Zatem doprowadzenie do pewnego porządku i ładu stanowi dzielność każdej rzeczy. Bo jakiś ład wewnętrzny, tkwiący w każdym przedmiocie, czyni go dobrym. Mnie się tak zdaje. Zatem i dusza, która ma w sobie ład swoisty lepsza od nieuporządkowanej? Koniecznie. A przecież ta, co ma w sobie ład, to porządna? A porządna ta, co rozumnie panuje nad sobą? Najoczywiściej. Więc dusza, rozumnie panująca nad sobą, dobra. A to mówię, że, jeśli rozumnie panująca nad sobą jest dobra, to znajdująca się w stanie przeciwnym rozumnemu panowaniu nad sobą — jest zła. A to jest dusza nierozumna i rozpasana. A kto rozumnie panuje nad sobą, ten będzie pewnie postępował, jak należy, i w stosunku do bogów i do ludzi. Będzie więc musiał postępować w stosunku do ludzi — sprawiedliwie, a w stosunku do bogów — zbożnie. A znowu przecież i odważny być musi, bo to przecież nie jest rzecz człowieka rozumnie panującego nad sobą ani gonić ani uciekać przed czym nie należy, ale przed czym należy...

Nie zgadzam się, Kalliklesie, żeby po twarzy brać niesprawiedliwie największą było hańbą, ani jeśliby kto ranił ciało moje, albo mi odrżnął mieszek — przeciwnie. W ogóle jakakolwiek zbrodnia popełniona na mnie, i na moich bliskich bardziej haniebna jest dla zbrodniarza, niż dla mnie, który bym jej był ofiarą... Bo też, Kalliklesie, spośród potężnych jednostek wychodzą ci, którzy się wielkimi zbrodniarzami stają... Trudna to rzecz, Kalliklesie, i wielkiej godna pochwały, jeśli się posiadło wielką moc czynienia złego, sprawiedliwie życie pędzić. A jednak bywają, a myślę, że i później będą ludzie piękni i dobrzy tą właśnie dzielnością, żeby sprawiedliwie zarządzać tym, co człowiekowi ktoś powierzy.

(Według Platona „Gorgiasza"; przekład W. Witwickiego).

KALIKST MORAWSKI

TWÓRCZOŚĆ LITERACKA CERVANTESA

(W 400-LECIE URODZIN)

Dzieło literackie Cervantesa jest ilościowo wielkie, gatunkowo różne. Jest ono pod wielu względami odbiciem ówczesnych kierunków i zainteresowań literackich i tłumaczy się w dużym stopniu ówczesną modą literacką. Mamy więc utwory genialne, do dzisiejszego dnia aktualne i przykuwające uwagę czytelnika bez względu na epokę i kraj jak „Don Quijote" mamy ciekawe i z wielkim talentem napisane nowele jak „Novelas ejemplares" oraz powieści pasterskie, utwory poetyckie i teatralne o mniejszej wartości literackiej, interesujące głównie jako przyczynek do charakterystyki autora i życia literackiego epoki. Omówimy najpierw te ostatnie utwory, by później scharakteryzować dokładniej Don Kiszota, nieśmiertelne dzieło Cervantesa.

ROMANS PASTERSKI

Powieść pasterska leżała w smaku epoki i należy do najbardziej popularnych utworów w tych czasach. Oczywiście Cervantes nie jest twórcą tego rodzaju utworów. Przed nim i po nim pisano ich dużo. Romans pasterski to do pewnego stopnia fikcja literacka. Pod postacią pasterzy i ich życia, opisuje się uczucia i życie sentymentalne warstw wykształconych. Główny temat to nieszczęśliwa miłość zakochanego pasterza; jego ukochana albo jest zupełnie obojętna na przeżycia miłosne swego wielbiciela lub też sama kocha się nieszczęśliwie w innym. Do najbardziej typowych utworów tego rodzaju, które pod wpływem kultury starożytnej oraz umiłowania do natury wprowadził do literatury renesans, to „Arcadia" poety neapolitańskiego Sannazara (1458—1530) „Zakochana Diana" autora hiszpańskiego Montemayora (zmarłego w 1561 roku), „Aminta" Torquata Tassa (1544—1595) autora Jerozolimy wyzwolonej, oraz „L'Astrée" francuskiego pisarza d'Urfée (zmarłego w 1625 roku).

Do rzędu tych powieści należy dodać Galatęę Cervantesa, w której obok pewnych wspomnień osobistych mamy typowy temat tego rodzaju utworów a mianowicie miłość Elicio i Erastra do pięknej Galatei, przeplataną epizodami miłosnymi innych pasterzy. Utwór ten ogłoszony prozą w 1585 roku zdradza w wielu wypadkach wpływ „Diany" Montemayora. Jest on ponadto nieskończony. Cervantes dał nam tylko pierwszą część, drugą zapowiadał stale, lecz nie napisał jej nigdy. Ogłoszony już po śmierci Cervantesa w 1617 r. utwór „Los trabajos de Persiles y S.gismunda. Historia setentrional" miał być według autora jego najlepszym utworem. Los trabajos — dosłownie prace, oznacza właściwie troski, trudności miłosne bohaterów. Teatrem akcji są początkowo kraje północne, później Lizbona, utwór ten pełen nieprawdopodobnych sytuacji, świadczy o bujnej fantazji Cervantesa, który z realizmem łączył elementy uczuciowe i wyobraźni, zbliżające go do romantyków.

CERVANTES JAKO POETA

Jako poeta pozostawił nam Cervantes utwory okolicznościowe, jak młodzieńcze poezje z okazji śmierci królowej Izabeli ogłoszone w 1569 roku, utwory wysławiające uroczyste przyjęcie ambasadora angielskiego przez dwór hiszpański w 1605 roku. Główny utwór poetycki to „Viaje del Parnasso" (Podróż na Parnas). Pomysł nie jest oryginalny, jest zaczerpnięty z włoskiego poematu Cesare Caporali „Viaggio in Parnasso". Jest to symboliczna podróż w kraj poezji. Dobrzy poeci bronią Cervantesa od natarczywości tłumu wierszokletów. Cervantes miał bardzo wysokie pojęcie o roli poezji. Z właściwym sobie przenikliwym zdrowym rozumem uważał on, że zasadniczą podstawą twórczości poety powinien być talent, wiedza zaś jest niezbędną dla uszlachetnienia formy i treści, ale sama nie wystarcza, by zapewnić poematowi wartość. Tylko spontaniczność połączona ze sztuką stworzą doskonałego poetę — twierdzi Cervantes. Poeta nie może być historykiem. Ten ostatni ma obowiązek przedstawić wypadki prawdziwe, poeta może prawdziwy wypadek przekształcić swą fantazją. — Występuje więc Cervantes zdecydowanie przeciwko pseudopoezji, przeciwko rozpowszechnionym wówczas traktatom naukowym czy też retorycznym, ubranym w niewłaściwą dla tego rodzaju utworów formę poetycką. „Podróż

na Parnas" wydana w roku 1614, w której autor nie szczędzi zdawkowych komplimentów różnym poetom mało na to zasługującym, pisany jest dość nieprzyjemnie, przeładowany jest alegoriami, brak mu spontaniczności, której Cervantes wymagał od poety, widać natomiast duży wysiłek. Cervantes pozostawił po sobie obfity spadek jako autor dramatyczny. Próbował przez pewien czas zarabiać na życie, pisząc utwory dla teatru, mamy nawet konkretny kontrakt, mocą którego Cervantes zobowiązał się dostarczyć w określonym terminie pewną liczbę utworów scenicznych. Teatr hiszpański był wówczas w okresie rozwoju, którego punktem kulminacyjnym będzie wielki teatr Lope de Vega i Calderona. Jeżeli Cervantes nie osiągnął sławy jako autor dramatyczny, to w dużym stopniu konkurencja Lope de Vegi była tu ważną przyczyną. Cervantes stoi na stanowisku trzech jedności klasycznych: czasu, miejsca i akcji. Zarzuca współczesnym komediom pomieszanie prawdy historycznej. Mamy utwory pełne nieprawdopodobnych sytuacji. Jeden akt dzieje się w Afryce, drugi w Azji, trzeci w Europie, w pierwszym akcie bohater jest małym chłopcem, w drugim już zgrzybiałym starcem. W jednym dramacie występują jednocześnie postaci z różnych epok: Karol Wielki, cesarz bizantyjski Hierakliusz, Godfryd z Bouillon itd. Cuda, znane jako cuda jednego świętego, przypisuje się innemu, słowem brak prawdopodobieństwa stanowi główną wadę teatru, zdaniem Cervantesa. Znamy cały szereg utworów scenicznych Cervantesa w „Los tratos de Argel" (1582) przedstawia nam obyczaje Algieru i życie niewolników, w dużym stopniu oparte na osobistych przeżyciach i spostrzeżeniach Autora. Postacie alegoryczne, jak: Konieczność i Oportunizm, lepiej powiedzmy Stosowność, nadają temu utworowi charakter sztuczny. To samo możemy powiedzieć o „Numancii" (1583). Mamy tu epizod z historii starożytnej. Długoletnie oblężenie Numancji przez Scypiona zbliża się ku końcowi. Mieszkańcy są u kresu sił, gnębi ich głód. Na tle ogólnej tragedii mamy epizody tragiczno-miłosne, postaci fantastyczne, np.: Hiszpania rozmawia z rzeką Duero, czarodziej Marquino wskrzesza umarłych, sceny miłosne, nie pozbawione sztuczności, wreszcie zbiorowe samobójstwo mieszkańców Numancji. Zbytni patos, prześladowanie okropnościami, zbyteczne postaci fantastyczne szkodzą poważnie Numancji, jako utworowi scenicznemu. W 1809 roku odegrano Numancję w krytycznym momencie oblężenia Saragossy przez Francuzów i przyczyniła się ona własnym swym patosem i bohaterstwem postaci do podniesienia ducha obrońców miasta.

CERVANTES JAKO NOWELISTA

Nowele Cervantesa do dziś interesują szeroki ogół: Niewątpliwie Cervantes nie był twórcą noweli. Przed nim mamy nowelistów włoskich: Boccacia, Bandella, Lasca (Grazzini) prawdziwych mistrzów tego rodzaju utworów. Nowele wzorowe ogłoszone w 1613 roku wraz z nowelami umieszczonymi w Don Kiszocie stanowią ważną pozycję w literaturze hiszpańskiej. W dużym stopniu są one wynikiem obserwacji poczynionych przez autora w okresie swych podróży służbowych. Poznał wtedy życie rozmaitych warstw ludu oraz zapoznał się z różnymi dziwacznymi nie z typami ludzkimi, które z dużą dozą realizmu, humoru i głębokiej psychologii scharakteryzował w swych nowelach. W ciągu trzydziestu lat napisał on swe 13 nowel, z których każda zasługiwałaby na obszerne omówienie.

Spór o to która z nich jest najlepsza nie został rozstrzygnięty i prawdopodobnie nigdy nie będzie rozstrzygnięty. Część krytyków uważa nowelę „El licenciado Vidriera" za najlepszą inni „La Gitanilla" lub też nowelę o dwóch psach, które charakteryzują swych panów „La de los perros Cipion y Berganza". Spotkały się one z ogólnym uznaniem współczesnych i potomnych. Nawet rywal Cervantesa wielki Lope de Vega uznał je za dobre. Również Walter Scott zaznacza, że nowele te były jego ulubioną lekturą. Każda z nowel zawiera swoiste piękno, polegające na dokładnym odtworzeniu obyczajów, żywości opowiadania, pomysłowości epizodów, krytyce występków i zła. Widzimy w nich również opis ścierających się namiętności. Cervantes jest więc malarzem, filozofem, stojącym na stanowisku ogólnoludzkich zainteresowań człowiekiem i ludzkością. Nie brak również swoistego humoru i dowcipnej krytyki współczesnego świata. Np. w „El licenciado Vidriera" mamy oryginalne dziwactwo młodego licencjata, który pod wpływem magicznych zabiegów utracił rozum. Wydaje mu się, że jest ze szkła. Ale jednocześnie wypowiada sądy o ludziach i rzeczach słuszne, dowcipne i głębokie. Przypomina miejscami Don Kiszota, który mimo swego szaleństwa również wypowiada trafne i oryginalne sądy świadczące o mądrości autora.

UTWÓR O NIEŚMIERTELNEJ SŁAWIE

Utwór, dzięki któremu Cervantes zdobył sobie nieśmiertelną sławę to Don Kiszot. Pełny tytuł „El ingenioso hidalgo Don Quijote de la Mancha". Pierwsza część ukazała się w 1605 r. druga w 1615. Przed ukazaniem się drugiej części w 1614 roku wydano drugi tom Don Kiszota, mający stanowić konstytucję dzieła Cerventesa. Autor nazywający się Alonso Fernandez de Avellaneda jest postacią nieznaną, jest to pseudonim. Nie wiemy kto pod nim się ukrywa i jakie właściwie cele przyświecały autorowi. Niewątpliwie chciał on ośmieszyć Don Kiszota. Avellaneda nagromadził dużą ilość pomysłów wulgarnych, nie pozbawionych pewnego komizmu. Książka ta, będąca swoistym plagiatem, w którym realizm i wulgarność Sancha przedstawione są w jaskrawej formie, skłoniła Cervantesa do szybkiego wykończenia i opublikowania drugiej części Don Kiszota.

Don Kiszot jest to powieść rycerska. Powieści rycerskie i powieści o sprytnych włóczęgach tzw. „picaros" należały do ulubionych utworów literackich epoki. Znamy wielką ilość tych powieści, działających podniecająco na fantazję czytelnika. Temat przeważnie zaczerpnięty jest z średniowiecznych epopei rycerskiej i z powieści dworskiej. Bohaterowie, odznaczający się niesłychaną odwagą i szlachetnością, dokonywują niebywałych czynów, niosą pomoc uciśnionym, biorą w opiekę słabych, zwłaszcza kobiety, pokonywują przeciwników obdarzonych nadludzką siłą, okrucieństwem i przewrotnością. Walczą z czarownikami, djabłami, smokami. Do najbardziej znanych utworów tego rodzaju należy „Amadis de Guala", którego autorem jest Rodriguez Montalvo. Nawet ze Świętego Franciszka z Assyżu zrobiono rycerza walczącego z potworami wszelkiego rodzaju i rycerskimi przeciwnikami. Ta dziwaczna historia z 1589 roku, której autorem jest zakonnik fra Gabriel de Mata świadczy, jak moda powyższa ogarniała nawet duchowieństwo. Wiemy, że Karol V mimo oficjalnych zakazów czytania i publikowania powieści rycerskich czytał je w sekrecie z dużym upodobaniem.

„El picaro" w literaturze przedstawia jak już powiedziano typ sprytnego włóczęgi-awanturnika. „La vida de Lazarillo de Tormes" (1544 r.) jest typowym utworem tego rodzaju w literaturze hiszpańskiej.

FANTAZJA I REALIZM

Don Kiszot to pozornie powieść rycerska z pewną domieszką elementu „picaresco" i pasterskiego. W rzeczywistości jest inaczej. Utwór ten czaruje nas swą głębią, która stawia Don Kiszota o całe niebo wyżej, niż liczne utwory poprzedzające ukazanie się tej epopei komicznej. Pierwsza rzecz, jaka rzuca się w oczy, to głęboki humor. Już sama koncepcja utworu jest bardzo komiczna. Don Kiszot, hiszpański Hreczkosiej, rozczytuje się w modnych powieściach i pod ich wpływem przewraca mu

(d. c. na str. 5-ej).

KAZIMIERZ PIETKIEWICZ

Artyści malarze a wieś polska

Prostym a jednocześnie najbardziej racjonalnym ze sposobów zbliżenia wsi polskiej do sztuki i jej twórców na drodze upowszechnienia kultury, a jednocześnie spopularyzowania wartości kulturalnych i wysiłków gospodarczych ludu mogłaby być zorganizowana akcja malarzy na terenie wsi w okresie letnim.

Akcja taka, mająca za zadanie uchwycenie w obrazie artystycznym swoistych cech krajobrazu i kultury ludowej szczególnie w regionach najbardziej charakterystycznych i żywych pod względem folklorystycznym, odegrałby mogła kolosalną rolę o wszechstronnym znaczeniu.

Poza rolą wzajemnego zbliżenia artysty do chaty wiejskiej, malarstwo polskie spełniło rolę wspaniałej księgi dokumentarnej, odzwierciedlającej wszystko to, co stanowi istotę życia i piękna i pracy twórczej wsi.

Trzeba powiedzieć prawdę, że dzisiejsza wieś polska nie widuje malarza i jego dzieła na wsi. Nie rozumie nie tylko procesów myślowych powstawania dzieła, ale nie widziała nawet techniki malarskiej i nie ma żadnego o tym pojęcia.

Zjawienie się artysty malarza na zapadłej wsi to iskierka światła, która rozjaśniłaby wiele nieznanych rzeczy ze świata. Nie jeden talent może być odkryty.

Każda rozmowa i sama praca podpatrzona przez młodzież wiejską to najlepszy odczyt o sztuce.

Z drugiej strony wieś otworzyłaby dla malarza wszystkie skarby swego piękna. Oto architektura archaiczna o swoistych cechach naszej sztuki ludowej, wnętrza domów mieszkalnych oraz inne budowle i urządzenia gospodarskie na tle polskiego krajobrazu.

Dzieła rzeźbiarza wiejskiego i kowala — kapliczki, cmentarze i krzyże.

Sceny z życia obyczajowego, społecznego i kulturalnego wsi, mieniące się barwą strojów regionalnych, akcesoria kultu i zabawy, świetne typy chłopskie.

Znój dnia codziennego i ciężka praca dająca chleb ludności — orka, siejba, sianokosy, żniwa powiązane ze zwyczajami (wieniec żniwny) — to tematyka niewyczerpana dla polskiego artysty. Dla wsi — to księga jej życia pisana barwami, księga, która powinna wykazać niezniszczalną moc, piękno naszego narodu i kraju.

W pracy tej mogliby wziąć udział też studenci, młodzież, która łatwiej dotrze do źródła, a często staranności przewyższy skończonego artystę.

W akcji napewno dopomogłyby artystom wiejskie organizacje społeczno-kulturalne, szkolnictwo oraz placówki kulturalno-oświatowe i urzędy ziemskie w sensie opieki w zakwaterowaniu się, a nowet wyżywieniu tam gdzie będzie to możliwe.

Jeżeli Ministerstwo Kultury i Sztuki taką akcję zorganizuje i wynajdzie środki, spodziewamy się, że artyści z tego zadania wywiążą się doskonale.

Podsumowaniem prac w tym zakresie byłaby wystawa ogólna, połączona z nagrodami i zakupami najlepszych prac do celów artystycznych, naukowych i propagandowych.

Kazimierz Pietkiewicz

JULIUSZ KURZĄTKOWSKI

Plastyka a społeczeństwo

Historia malarstwa XX wieku wykazuje pojawienie się nowych a ekscentrycznych doktryn plastycznych. Są one krótkotrwałe i ustępują miejsca jeszcze bardziej radykalnym, najczęściej niezrozumiałym.

Ekscentryczność i radykalizm, pogoń za oryginalnością, rewolucyjne tendencje burzenia, zdawałoby się, niewzruszonych zasad, którymi się kierowano we wszystkich nowszych stylach jak dążność do osiągnięcia zgodnych efektów z naturą, a więc: perspektywy, właściwego przedstawienia ciała ludzkiego w jego proporcjach i ruchach, koloru, światłocienia i t. p. przejawiły się w poszukiwaniach nowych form. A ponieważ trudno jest wymyśleć coś absolutnie nowego, naśladowano sztukę ludów pierwotnych, sztukę dziecka, ludową, probowaną wreszcie tworzyć sztukę abstrakcyjną, albo wizje oglądane w stanie somnambulicznym.

Niekiedy zaprzecano w obrazie wszystkim dotychczasomym zasadom (Kubizm).

Niepokój przełomowych godzin wyraził się także w kulcie dla miniowych stylów (Szkoła Pruszkowskiego i Stendzińskiego).

Nie miejsce tutaj na zajmowanie się analizą poszczególnych kierunków; splot zjawisk towarzyszących krystalizowaniu się pewnych dążeń jest niewątpliwie b. ciekawy, chodzi mi jednak narazie o stwierdzenie tego chaosu w rzeczach plastycznych, tej namiętnej walki o prymat grup, a co za tym idzie—całkowitej dezorientacji konsumentów sztuki, zmniejszania się ich liczby—całkowitego odosobnienia plastyków od społeczeństwa. Zjawisko niepożądane i niebezpieczne. Plastyka stała się niepotrzebną. Plastyka jest społeczną. Dziwnym się musi wydać dążenie do upowszechniania w tych warunkach plastyki i dlatego wszelkie próby realizowania tych dążeń natrafiają na niezmierne trudności. A przecież bywało inaczej. Starsze pokolenie pamięta jeszcze wystawy, które były tłumnie odwiedzane, na których dokonywano zakupów. Artyści poprzedniego stulecia starali się realizować pewne zagadnienia nieformalne, ale raczej literackie i tego oczekiwało i pragnęło nasze społeczeństwo. Sztuka drugiej połowy XIX wieku, a jeszcze więcej ostatnie ćwierćwiecze zaważyły poważnie na formowaniu psychiki Polaka.

Dotychczas historię Polski widzimy oczyma Matejki, a epos żołnierza polskiego oczyma Kossaków.

Grottger, Brandt, Chełmoński, Malczewski Jacek, Tetmajer, Fałat, Skoczylas, Sichulski-wszyscy pracują jak gdyby na *zamówienie społeczne*. Dzieła ich są oczekiwane, wielokrotnie reprodukowane w tygodnikach, na pocztówkach jako premie Tow. Zach. Sztuk Pięknych; reprodukcje te często zdobiły nasze wnętrza. Z tego by wynikało, że plastyk przeżywał zagadnienia polskie zgodnie z masami narodu.

Obecnie stwierdzić należy rozdźwięk, który wynika z tego, że dążenie plastyków do zdobycia wolności w sensie nie malowania patriotycznych scen, zdobycia tej wolności jaką posiadali artyści ludów wolnych, jak: Anglicy, Francuzi, Włosi, Niemcy, którzy nie musieli malować patriotycznych tematów, ale zwrócili się do zagadnień formalnych.

Ostatecznie plastycy wywalczyli zwycięstwo, ale za cenę utraty konsumentów sztuki.

Dlatego artykuł kol. Pietkiewicza uważam za głos mas domagających się sztuki, którą mogłyby przeżywać, tak jak nasi poprzednicy. Podsuwa nawet tematy z życia wiejskiego; słusznie myśli, że arstysta chcąc uchwycić właściwy ton, powinien osobiście wejść w to środowisko, poznać je, zżyć się z nim, a wtedy napewno znajdzie drogę do ich psychiki.

Sprawa poważna i trzeba ją wszechstronnie opracować. Interesuje nas przygotowanie estetyczne środowisk wiejskich i miejskich, ilość przodowników kulturalnych i oświatowych posiadających jakiekolwiek wiadomości o sztuce, metody pracy szerzenia tej wiedzy, reforma programów kształcenia nauczycieli, reforma programów kształcenia artystów i t. p.

Juliusz Kurzątkowski

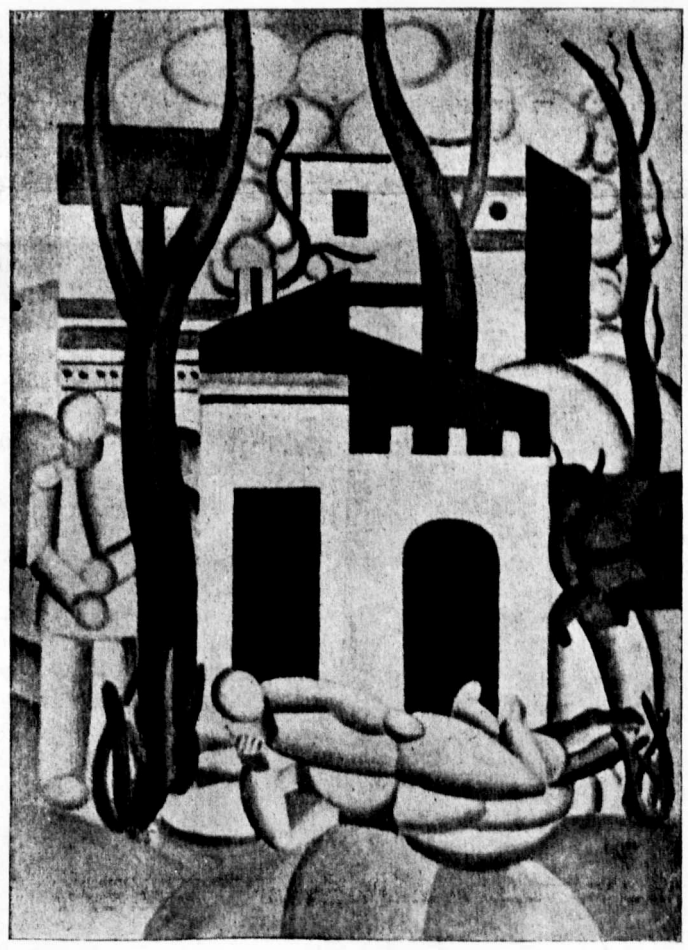

Fernard Leger — Pejzaż ożywiony (olej)

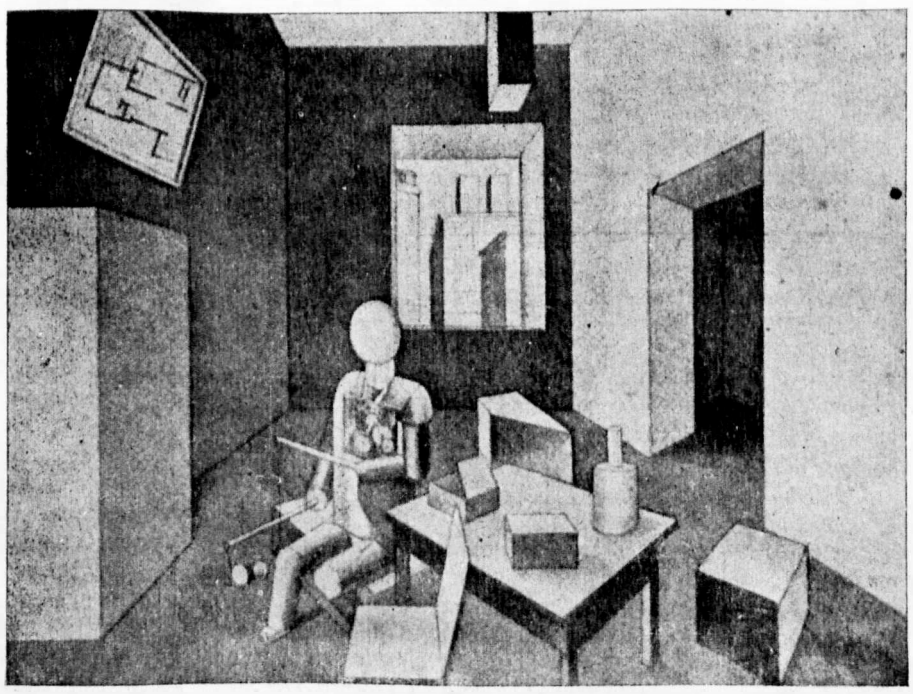

G. Grosz — Diabolo (akwarela) 1920 r.

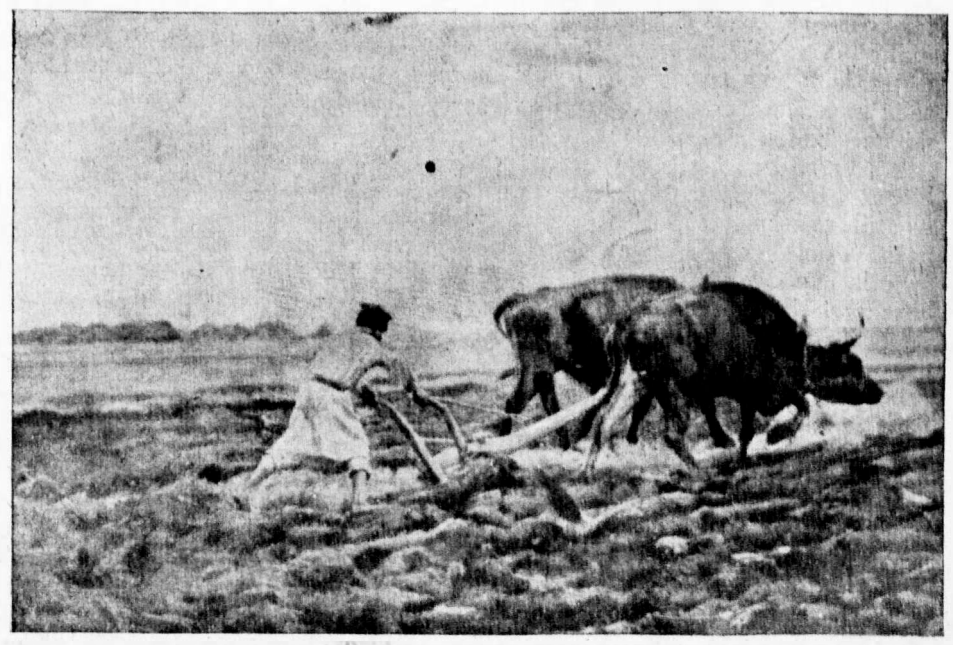

Józef Chełmoński — Orka (olej)

CZ. JASTRZĘBIEC-KOZŁOWSKI

W OBCYCH ZWIERCIADŁACH

Czy my Polacy jesteśmy lubiani przez inne narody? Rzecz zastanawiająca, jak biegunowo różną odpowiedź wypadnie dać na to pytanie w zależności od tego, czy nas obcy poznają tutaj w Polsce, czy też u siebie, w swoich krajach.

Cudzoziemiec, który przyjechał do Polski na nieco dłuższy pobyt, zazwyczaj po pewnym czasie zaczyna Polaków lubić Jeżeli przybył z „burżuazyjnego" Zachodu, trochę zrzędzi na brak komfortu w życiu codziennym, poza tym na polską niesłowność, na niesumienność naszych rzemieślników itd. Natomiast z reguły chwali w Polsce wesołość, pogodę, animusz, dowcip, łatwość i kulturę stosunków towarzyskich, sympatię do nowopoznanych ludzi, żywą inteligencję. Pan Walser, Amerykanin, który w Warszawie spędził coś około roku, pisał potem przez długie lata listy do moich znajomych, pełne tęsknoty za Polską. „Mój zawód zmusza mnie do częstych podróży po Stanach Zjednoczonych, Anglii, Francji, Niemczech. Otóż po Polakach ci wszyscy ludzie wydają mi się dziwnie ociężali umysłowo, mało lotni, zbyt jednostronnie interesujący się wyłącznie swoim fachem, materialistyczni, bez polotu . . . I jeszcze jedno: w waszych dziennikach, nawet brukowych, zawsze można wyszukać w którymś felietonie czy artykule — trochę samodzielnej myśli, twórczego żartu. Nasze amerykańskie gazety, w zestawieniu z nimi, są takie czcze, takie błahe . . .".

Obraz zmienia się radykalnie, gdy Polacy występują nie w roli gospodarzy, lecz gości. A że to się dzieje bez porównania częściej, więc rezultat jest wcale smętny. Trzeba sobie powiedzieć otwarcie: nie mamy w świecie „dobrej prasy". Nie jest to nawet obojętność, chłodny stosunek, tylko wręcz niechęć, często wyraźna, nieraz jaskrawa antypatia. Dosyć sobie przypomnieć, jak ładnie wystawił Polaka Claude Farrère w swym „Człowieku, który zabił" (L'homme qui assassina), jak miłe są typy Polaków chociażby w „Braciach Karamazowach" Dostojewskiego! Już niejedną gorzką pigułkę dał nam do przełknięcia znany powieściopisarz angielski Wells, który szczerze wyznaje, że „nie lubi Polaków i nie ufa im". Gdy kiedyś napisał, że Polska za swe grzechy słusznie została podzielona między Rosję, Niemcy i Austrię, Chesterton, nasz wypróbowany przyjaciel, w którymś artykule pytał żartobliwie, czy słusznie by było, gdyby „pana Wellsa za jego grzechy podzielono między Shawa, Galsworthy'ego i mnie?".

Mamy przyjaciół, ale bardzo nielicznych. Za to wybitnych i gorących. W czasach najnowszych można wymienić: wspomnianego przed chwilą Chestertona w Anglii, Jullusza Baneszicia w Jugosławii, Francisa Warraina, który całe życie poświęcił badaniom nad filozofią polską, we Francji.

Niezbyt to miła rzecz — słyszeć krytyczne zdania o sobie; ale czasem zdrowa i pożyteczna. Zawsze bardzo mię interesował sposób, w który ludzie próbują scharakteryzować własny i inne narody. Czytając książki w różnych językach, nieraz wynotowywałem sobie odpowiednie ustępy. Podzielę się dziś z czytelnikami częścią tych wypisów.

* * *

Georges Duhamel napisał powieść w formie wspomnień Francuza, studenta medycyny. Student ten pracuje w prosektorium, gdzie się styka z kolegami wielu narodowości. Między innymi jest tam Mazurkiewicz, „Polak o zimnym wzroku, hołdujący filozofii pełnej goryczy". Bohater rozmawia o nim z kolegą-Żydem, panem Simon. Ten ostatni wyraża się o Mazurkiewiczu uszczypliwie.

— Jesteś bardzo złośliwy, kolego. Przecie ten Polak pracuje doskonale, jest to jeden z najmniej głupich wśród nas.

— Zapewne — rzekł Simon — ale przeciw niemu, jak przeciw wszystkim jemu podobnym, zachodzi pewna bardzo ważna okoliczność . . .

— Mianowicie?

— Ta, że po polsku nie istnieje czasownik c o n t i n u e r (kontynuować, ciągnąć dalej).

Bohater zrozumiał, że jest to aluzja do braku ciągłości w dziejach Polski. Bardzo go zaciekawiła ta uwaga. Nie chcąc urazić Mazurkiewicza nieostrożnym słówkiem, kiedyś przy sposobności zapytał go możliwie obojętnym tonem, czy rzeczywiście po polsku nie ma tego czasownika. Zapytany spłonął rumieńcem, jednak powściągnął się i odparł spokojnie:

— Być może. Ale za to mamy czasownik, którego wy nie posiadacie: p r z e t r w a ć.

Ciekawe i na ogół życzliwe są uwagi prof. Juliusza Beneszicia, którego zasługi w dziele zapoznania Jugosławii z Polską i nawzajem są wręcz nieocenione. W jednym ze swych felietonów, pisanych przed trzydziestu z górą laty, tak mówi o Polakach: — Są uprzejmi, gładcy, życzliwi bez przesładzania, dyskretni. Każdy z nich ma swój świat wewnętrzny, który otacza nieprzebytym murem. Fakty czy zjawiska, które ich rażą lub bolą, umieją odsunąć i już nie dać im do siebie przystępu. Jakie to charakterystyczne: Sienkiewicz, który napisał ponad dziesięć tysięcy stron, ani razu nie wymienił nazwy Rosji! Uprzejmość ich jednak wydaje mi się często nazbyt już konwencjonalna. Gdy się Polakowi poskarżysz na jakieś swoje troski lub kłopoty, zawsze zrobi zmartwioną minę i powie: O! o! Gdy mu opowiadasz o swoich sprawach, co chwila słyszysz od niego pełne rzekomego przejęcia: Tak? tak? — Ani razu nie zdarzyło mi się usłyszeć w polskim salonie przykrego słowa o przeciwnikach; ale to głównie dlatego, że się o tych przeciwnikach w ogóle nie mówi. Najczęściej konwersacja ma za temat nową książkę, koncert, teatr. Rozmów o polityce Polacy słuchają chętnie, przy czym każdy z nich pozostaje przy własnym, zgoła niewzruszonym zdaniu. Zupełnie różni ich od nas nieporównanie większa dyskrecja. Możesz Polaka znać szereg lat, a nie spyta cię on o twoje sprawy sercowe ani o twoje finanse; jak ognia będzie się bał urazić cię nieproszonym wtrącaniem się. Nigdy też nie słyszałem, żeby się swoim bogactwem, znakomitością, czy tytułem chełpili wybitniejsi Polacy — choćby to byli ludzie, którzy na kartach wizytowych mają takie herby jak Ostoja, Jelita, Leliwa, Nieczuja . . .

Mimochodem rzucił naszym paniom miły komplement powieściopisarz amerykański William Black. Powiada on w którejś ze swych książek, iż „Rosjanki byłyby niewątpliwie najpiękniejszymi kobietami w świecie, gdyby . . . nie Polki". Całą powieść, której akcja toczy się w Polsce, napisał Pemberton — ale cóż to za Polska, o rety! Czasem się wydaje, że to humorystyka, choć zresztą autor chce nam być najżyczliwszy.

Nie mieliśmy na ogół szczęścia u powieściopisarzy rosyjskich. Toteż nie bez pewnej przyjemności czytam uwagi obiektywne, może nawet przychylne, w ciekawej książce rosyjskiego emigranta (już nieżyjącego), E. Kielczewskiego pt. „Po przejściu huraganu" (Posle uragana). Powieść jest pisana jako pamiętnik rosyjskiego inteligenta, który po rewolucji opuścił Rosję i podróżuje po świecie. Oto parę urywków:

„Tylko we Włoszech, Rosji i Polsce spotyka się ludzi o tak subtelnej kulturze, że sztuki piękne stanowią dla nich nie tylko ozdobę życia, lecz jego składnik istotny; ludzi, których umysłu i charakteru jakby dotknęło skrzydło wielkich autorów wszystkich czasów i wszystkich narodów, zostawiając nieuchwytne znamię na ich upodobaniach i przyzwyczajeniach. Tylko tacy ludzie mają zrozumienie dla najprzedniejszego humoru i bolesne odczucie lichoty. Ich nerwy, wysubtelnione postrzeganiem odcieni w sztuce, są wyjątkowo czujne; stąd ta wytworna delikatność w obcowaniu z innymi . . .".

„Przy dużym stole koło okien siedzą Polacy — trzech mężczyzn w nieokreślonym wieku i jedna starsza dama. Wszyscy są ubrani bez zarzutu, wszyscy mają dumne, rasowe rysy i wyniosłe maniery. Powiadają, że Polacy są Francuzami północy; główne podobieństwo polega na tym, że każdy Francuz i każdy Polak jest zakochany w sobie: pierwszy — miłością szczęśliwą i spokojną, drugi — miłością zazdrosną i pełną dręczących zwątpień; obaj lubią mówić o swych zaletach, lecz pierwszy czyni to z rozbrajającą dobrodusznością, nie przypuszczając u rozmówcy ani cienia wątpliwości, drugi — z rozdrażnieniem, z góry już urażony możliwą nieufnością czy ironią. Lubię Francuzów i nic nie mam przeciw Polakom, ale w tych drugich rad bym widzieć więcej szlachetnej prostoty, tak właściwej dawnej arystokratycznej Polsce".

Mówi też Kielczewski o innych narodach:

„Kto wie, czy Amerykanin nie jest najlepszym typem mężczyzny. Jest on silny, odważny, naturalny i szlachetny; nie skrzywdzi słabego i chętnie narazi życie dla ratowania pierwszego spotkanego, nie sobie z tego nie robiąc. Czuje głęboko i szczerze, lecz nie pieści się, nie mówi frazesów i nie pozuje. Ale jest prostoduszny prymitywny, filozofia mu obca, poezji nie rozumie, jego rozkoszowanie się życiem ogranicza się do elementarnych czynności fizycznych: sportu, tańców, lekkiej muzyki i hałaśliwego śpiewu".

„Dziwne to, lecz nieraz zauważyłem, że najlepszymi obywatelami rosyjskimi, są zruszczali cudzoziemcy".

„My Rosjanie przyjmujemy oszustwo jako zło nieuniknione i traktujemy je z dobroduszną lub wzgardliwą obojętnością. Francuzi widzą w oszustwie zjawisko normalne, które należy regulować grzeczną kontrolą. Anglicy, Niemcy, Amerykanie i inni, mają je za rzecz niedopuszczalną. To samo tyczy się wszelkich napiwków. Rosjanin płaci dużo, by się odczepić i by nie czuć za plecami niezadowolonej gęby. Francuz daje w sam raz tyle, by go nie wyłajano, i za brak hojności wynagradza miłym uśmiechem. Inni płacą tyle, na ile, ich zdaniem, ktoś zasłużył".

Chińczycy — to lud sympatyczny i uczciwy, lecz d z i ś najzupełniej barbarzyński. Faktycznie rządzą Chinami cudzoziemcy, przy czym Anglicy i Amerykanie traktują ich jak Murzynów".

Wysoce zajmujące są „Pamiętniki angielskiego agenta", pióra R. H. Bruce Lockharta. Autor odegrał dużą rolę w angielskiej dyplomacji, przez długie lata był przedstawicielem Wielkiej Brytanii w Rosji, tam też przeżył wielką wojnę 1914—18 i rewolucję radziecką, przy czym do bolszewizmu ustosunkował się na ogół przychylnie. Z narodowości jest Szkotem, nie szczędzi Anglikom cierpkich uwag, zresztą i w stosunku do siebie samego daje dowód rzadko spotykanego autokrytycyzmu. Przytoczę tutaj kilka jego spostrzeżeń:

„U Anglika patriotyzm uzewnętrznia się w postaci tępej pogardy dla wszystkiego, co nie angielskie. Patriotyzm Szkota jest praktyczniejszy. Pogarda jego dla cudzoziemców ogarnia również Anglików, co Szkot jednak starannie ukrywa. Zapał jego ogranicza się do zagrzewania do walki Szkotów w Twickenham. Jest to objaw raczej rasowy, niż lokalny. Chodzi tu o gloryfikację i zadowolenie każdego Szkota z samego siebie, niezależnie od tego, w jaką część globu zapędzi go pragnienie wyróżnienia się".

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Dzieje jednego

Gdy po skwarnym lecie 1939 roku rozpętała się nad Polską wrześniowa nawałnica, w miasteczku był sobie sam pogodny wieczór pachnący trochę melancholią odchodzącego lata, trochę apteką i fryzjernią. Drewniane domki zanurzone po uszy w dojrzałą i lekko rudziejącą zieloność sadów wdychiwały otwartymi oknami nadchodzącą noc.

I gdy nad zachodnią granicą przebiegał dreszcz ostrego pogotowia w stal zakutych armii — prowincjonalne domki zabłyskiwały miłą poświetlą naftowych lamp. Ksiądz proboszcz siadał do kolacji, aptekarzowa do bridża, kupiec do obliczania kasy, a komendant posterunku do pisania raportu.

Z trzaskiem pierwszego pękającego granatu załamał się stary świat. Poczęła się i Wielka Gra. Ludzkość przekroczyła próg szaleństwa. Maciejka w ogródku naczelnika sądu pachniała tak samo jak w czasie pokoju.

Huragan runął na miasteczko.

Lawina plotek przewaliła się ponad gontowymi dachami podcienionych domków.

Kolumny cofającej się armii przemaszerowały śpiesznie bokami. Miasteczko drżało od zbliżającego się huku armat. Nocami ciemność pulsowała jak krew w skroniach chorego. Ze skrzypem niesmarowanych kół przewalała się fala ludzka na wschód. Skrzypem kół śpiewały wtedy wszystkie drogi i dróżki, gliniane, kamieniste, piaszczyste.

Samotne stodoły w polach stały się pełnymi komfortu miejscami noclegu dla ludzi o nieogolonych twarzach i zakurzonych bucikach. A potem zrobiło się cicho i bardzo spokojnie. O którejś tam godzinie zaturkotała polska kuchnia polowa.

Odbita, zagubiona owca. Posypały się nieprzeliczone kule gdzieś zza rzeki, zza mostu. Polski żołnierz padł twarzą przed miasteczkiem, jak gdyby chcąc zagrodzić drogę nadjeżdżającemu patrolowi niemieckiemu.

To wszystko.

Potem był motocykl na rynku — obcy człowiek w stalowym chełmie i zakurzonym gumowym płaszczu. Przez szereg miesięcy stała w miasteczku niemiecka kompania. Burza przeszła dalej—zniknęła za siedmioma wzgórzami, za siedmioma rzekami. Wieczory były znów ciche i ciepłe. Zapach drugiego siana mieszał się z głosami sentymentalnie nastrojonych Hansów i Karlów, którzy siadywali na progach swych kwater, paląc fajki.

Zima była ostra, długa i śnieżna. Wydeptana w śniegu ścieżynka wiodła do mizernego domku, w którym działy się dziwne rzeczy. Listonosz, będący właścicielem domku zamykał drzwi, zasłaniał starannie okna, wyjmował z komory aparat radiowy, łączył dziesiątki kieszonkowych bateryjek wyżebranych w czasie swej służby, rozwijał antenę na przestrzeni od łóżka po piec i słuchał... Ale nie sam — otoczony gromadką kilkunastu ludzi wpatrujących się w jego twarz w chwili, gdy z powodzi piasków i trzasków wyławiał słowa komunikatu brzmiące jak Dobra Nowina.

(W trzy lata później — aresztowany o bladym świcie zaginął bez wieści).

Miasteczko nadal żyło Polską mimo obecności dwustu najzupełniej obcych ludzi. Polskim był mróz, polskim był śnieg zwisający z dachów, polskimi były gwiazdy wiszące nad ziemią zasłuchaną „nocami" w rzekome odgłosy armat „od Węgier"... Polskie było przedwiośnie całe przebłękitnione nieuświadomionymi nadziejami.

W miasteczku pełno już było nowych ludzi. Ludzi z „dużego świata". Przyjeżdżało tu wielu: profesorowie, docenci, radcy i studenci. Wygnani z miast drożyzną, brakiem żywności, strachem, prześladowaniem, schronili się na cichej prowincji, aby przeżyć. Miasteczko zakwitło nazwiskami ludzi nauki i sztuki. Ale profesor historii sztuki podlewał w swoim ogródku rabaty floksów, a radca ministerstwa prowadził w miejscowej spółdzielni książki handlowe. Magister filozofii „odwszawiał" okoliczne wsie, a nieukończony medyk szczepił „na

„Nie spotkałem jeszcze Anglika, który by nie schował swej dumy do kieszeni, jeżeli tylko jego kieszeń mogła na tym skorzystać".

O stosunkach w Moskwie przedwojennej powiada:

„Poza obrębem interesów i stosunków handlowych, Rosjanie i Anglicy nie spotykali się z sobą. Większość miejscowych Anglików uważała Rosjan za dobrodusznych, lecz niemoralnych dzikusów, których nie wypada, a nawet niebezpiecznie jest wprowadzać do swego domu".

„Jako Szkot usiłuję czasem pokonać w sobie poczucie małowartościowości w stosunku do Anglików, przez udaną pogardę dla ich braków intelekfualnych. W stosunku do cudzoziemców jestem zawsze pełen pewności siebie. Zawadiacka fanfaronada Amerykan umacnia tylko moje poczucie własnej wartości. Wobec Rosjan czuję się zawsze wielkim panem. Ale w obliczu subtelnie aroganckiej skromności angielskiej staję się nieśmiałym i lękliwym".

„Pogarda dla cudzoziemców charakteryzuje rasę angielską, ale postawa najzagorzalszego Johna Bulla jest uosobieniem tolerancji w porównaniu z arogancką obojętnością, jaką okazywał Petersburg (za carskich czasów; przyp. mój) mieszkającym w nim cudzoziemcom. Arystokracja rosyjska żyła we własnym, zamkniętym świecie, choć nie miała starożytnych rodów, ani też cywilizacji, jakiej by się można było po niej spodziewać, patrząc na jej zbytkowne życie. Nie istniał tam zwyczaj przyjmowania zagranicznego ambasadora tylko dlatego, że jest ambasadorem. Jeżeli lubiano go za zalety towarzyskie, zapraszano go wszędzie. Jeżeli nie — ignorowano zupełnie. Nie wypływało to ze snobizmu. Arystokracja rosyjska była równie gościnna, jak i inne warstwy rosyjskiego społeczeństwa, z tą jedynie różnicą, że dobierała sobie gości według własnego upodobania . . .".

„Dla arystokracji absolutna władza cara była czymś więcej nawet, niż religią. Była opoką, na której wspierała się jej egzystencja. Uważała cara za jedynego monarchę na świecie i wszelkie kroki obcych ambasadorów, usiłujących wywrzeć wpływ na cesarza, poczytywała za uchybienie przeciw majestatowi".

I wreszcie — o Polakach:

„. . . W owej chwili złe przerzucia umacniało jeszcze obleganie Verdun przez Niemców i napływ do Moskwy polskich arystokratycznych uchodźców. Polacy mieli na Moskwę niezdrowy wpływ. Pozornie byli bardzo mili: ożywiali moskiewskie życie towarzyskie, zamiłowanie zaś ich do dyskusji politycznych dostarczało świeżego materiału moim sprawozdaniom. Współczułem gorąco ich cierpieniom, lecz gdy poznałem ich bliżej — sympatia moja zmieniła się w nieufność, a nawet w niechęć. To, że nienawidzili Rosji, uważałem za zupełnie naturalne, nie mogłem jednak znieść sposobu, w jaki przyjmowali ofiarowywaną im na każdym kroku szczerą gościnność, za którą odpłacali obmawianiem gospodarzy i udawaniem, że gardzą dobrymi mieszczanami moskiewskimi. Poza tym nie mogłem strawić ich egocentrycznej próżności i pesymizmu. Szczytem wszystkiego było, gdy pewnego wieczoru, w najkrytyczniejszym okresie oblegania Verdun, pewien mizerny, lecz zarozumiały książę zauważył w obecności kierownika francuskiej misji wojskowej: „Jeżeli zdobędą Verdun, to Paryż też upadnie. Cóż to będzie za straszliwy cios dla kwestii polskiej!". Jest to tylko jeden z licznych przykładów polskiego braku taktu. Jednakże ludzie ci, którzy nigdy nie umieli sobie sami poradzić, którzy minimalnie się przyczynili do zwycięstwa Ententy, dostali w nagrodę największy kawał terytorium, jaki Traktat Wersalski zagwarantował któremukolwiek narodowi".

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski

TWÓRCZOŚĆ LITERACKA CERVANTESA

(dokończenie ze str. 2-ej).

się w głowie. Zdaje mu się, że sam jest błędnym rycerzem i wyrusza w świat, by wskrzesić chwałę rycerstwa i okryć swój stan i samego siebie nową glorią. Ma niesłychane przygody. Walczy z wiatrakami, które bierze za olbrzymy, zajeżdża do karczmy, która wydaje mu się wspaniałym zamkiem, służące to piękne kasztelanki, karczmarz to kasztelan, uosobienie cnót rycerskich. Tenże kasztelan pasuje Don Kiszota na rycerza. Ten kontrast między rzeczywistością i urojeniami Don Kiszota wywołuje kaskady śmiechu, tym bardziej, że autor zestawił go z głęboką powagą z jaką Don Kiszot przyjmuje i uzasadnia swe szaleństwa. Możnaby cytować jeszcze inne epizody, wybitnie humorystyczne, jak historia z hełmem Mambrina, uwolnienie galerników, pokuta Don Kiszota w Sierra Morena, rządy Sancha na wyspie Baratarii itd. Zestawienie fantazji Don Kiszota z realizmem i wulgarnością Sancha powiększa jeszcze ten efekt komizmu. Ale nietylko humor cenimy w Don Kiszocie. Dokładność obserwacji życia codziennego, opisy kraju i ludzi spotykanych po drodze są dla nas cennym materiałem pozwalającym nam wniknąć w ówczesne stosunki i życie Hiszpanii. Cervantes nie cofa się przed realizmem nawet przed opisem scen wulgarnych, ale ta wulgarność nie jest celem samym w sobie, jest tylko niezbędnym uzupełnieniem całości obrazu życia i obyczajów epoki.

O POSTACI DON KISZOTA

Don Kiszot nietylko bawi nas, ale jest on niesłychanie sympatycznym i tu może leży klucz do zrozumienia prawdziwej wielkości Cervantesa i jego Don Kiszota. Gdyby Don Kiszot był tylko figurą komiczną, parodią błędnego rycerza, wówczas nie potrafiłby dłużej przykuć uwagi czytelnika. Nadmiar scen komicznych i tylko komicznych niewątpliwie nudziłby nas po pewnym czasie. Ale Don Kiszot jest pociągający dzięki swemu rozumowi. Ten oryginalny szaleniec, gdy zapomina o swym rycerstwie wypowiada sądy i zdania ciekawe oraz głębokie. Wypowiada on w rozmowach z Sanchem, z proboszczem, z Samsonem Carasco, z cyrulikiem, mistrzem Mikołajem oraz innymi osobami spotkanymi po drodze zdrowe sądy o literaturze, życiu, obowiązkach człowieka, o rządach rozumnych. Zapomina się wówczas, że to mówi szaleniec, treść bowiem każe zapomnieć o autorze wypowiedzi. Poza tym jest on osobą szlachetną, głęboko humanitarną i bezinteresowną. Celem podróży Don Kiszota to walka ze złem, pomoc cierpiącej i uciśnionej ludzkości. Don Kiszot nie ogląda się na to, kto potrzebuje pomocy, bez względu na stan i osobę śpieszy każdemu bez różnicy z pomocą. Don Kiszot kocha swój ideał, bierze go na serio. Całe jego życie to służba temu ideałowi wzniosłemu i staranne unikanie tego wszystkiego co stoi z nim w sprzeczności. Don Kiszot kocha piękno. Ta fikcja miłości, której uosobieniem jest Dulcynea, to piękny przykład kultu piękna. Mniejsza z tym, że Dulcynea jest tylko tworem fantazji. Właśnie ten twór łączy piękno fizyczne i duchowe. Don Kiszot wierzy niezachwianie w ten ideał, i czytelnik potrafi zapomnieć o prawdziwej Dulcynei a widzi tylko Dulcyneę piękną i subtelną. Don Kiszot nie tylko kocha piękno oraz ideał, ale głęboko wierzy w to co myśli. Jest przeświadczony, że dobro zwycięży zło, że duch odniesie zwycięstwo nad materią. I znowu czytelnik czuje, że Don Kiszot walcząc ze społeczeństwem takim jak ono przedstawia się naprawdę ma w gruncie rzeczy słuszność, mimo całej śmieszności zewnętrznych form tej walki. Don Kiszot wzrusza nas swą bezinteresownością i nie oglądaniem się na środki. Don Kiszot przecież nie chce nic dla siebie. Jest bity, poniewierany, wyśmiewany, ale mimo to nie waha się; idzie swą drogą bo wydaje mu się, że jest to jedyna droga słuszna Jakie środki ma do dyspozycji? Chudego konia Rocinanta, kiepską broń, starą, zardzewiałą zbroję i giermka Sancho Pancho, oto wszystko. Ta dysproporcja między celem a środkiem podwyższa jeszcze wartość i urok nieśmiertelnego utworu Cervantesa. Na łożu śmierci Don Kiszot oprzytomniał, potępił swe szaleństwa, ale nie potępił ideału któremu służył. Kontrast między ideałem i rzeczywistością jest przedstawiony w osobach Don Kiszota i jego giermka Sancho Pachona.

Te wszystkie cechy charakterystyczne utworu Cervantesa, a więc szlachetność bohatera, humor i realizm opisów stanowią podstawę nieśmiertelności Don Kiszota. Szlachetność zamiarów oraz ideałów Don Kiszota z jednej strony, nieumiejętność realizacji ich z drugiej, nadaje utworowi Cervantesa akcety tragiczne, wzruszające czytelnika. Życie prozaiczne, przyziemne, reprezentuje Sancho, ideał i fantazję Don Kiszot. Para ta to poniekąd synteza życia, to symbol rozbieżności między ideałem a rzeczywistością, stały kontrast i codzienny kontakt jednego z drugim czyni problem tej rozbieżności jeszcze bardziej widocznym. Co właściwie zamierzał Cervantes pisząc Don Kiszota? Krytyka nie potrafi na to odpowiedzieć z całą pewnością. Jedni widzą tu negację zarówno idealizmu, jak i materializmu, inni znowu twierdzą, że Cervantes chciał ośmieszyć powieści rycerskie. Są tacy, którzy widzą krytykę ówczesnych stosunków hiszańskich, inni znowu doszukują się ukrytego sensu, jak, walka o wolność sumienia itd. Najprawdopodobniej Cervantes pisząc Don Kiszota chciał przedstawić typ śmiesznego rycerza, być może spotkanego po drodze, chciał również ośmieszyć opowieści rycerskie. Utwór rozrastał mu się w miarę pisania i dorzucając coraz nowe epizody stworzył całość piękną i pociągającą nietylko dla współczesnych, ale i dla potomności. Daje bowiem ona obraz problemów głębokich i wzruszających, które interesują nie tylko dany kraj lub daną epokę ale całą ludzkość.

Życie autora, pełne wrażeń i przygód, jak również trudności materialnych ułatwiło mu zadanie. Cervantes, jako żołnierz poznał Włochy, główne centrum kultury europejskiej w XVI wieku. Jako niewolnik korsarzy algierskich poznał świat muzułmański i drugą wielką kulturę, aczkolwiek wówczas już w głębokim upadku. Wreszcie zarabiając na życie, jako handlowiec - urzędnik poznał dokładnie Hiszpanię, główną podporę materialną świata katolickiego i ważne centrum kultury zachodnio-europejskiej. Jeżeli dorzucimy dużą wiedzę i wykształcenie humanistyczne, nabyte w zakładach naukowych w Hiszpanii i podczas pobytu we Włoszech, zrozumiemy dlaczego Cervantes tak dobrze orientował się w zagadnieniach życia i literatury współczesnej mu.

Również jako człowiek Cervantes ma wybitne zalety, a więc szlachetność, energię życiową i niezrażanie się licznymi trudnościami jak również umiłowanie ideału piękna, wiedzy i ludzkości. Pod tym względem Don Kiszot zapożyczył dużo od samego twórcy, przypomina często samego Cervantesa

Kalikst Morawski

SPROSTOWANIE

Jak zwykle złośliwy chochlik drukarski sprawił nam kilka kłopotów w dwu pierwszych numerach — prostujemy błędy i pomyłki:

W nr 1 (26) we fragmencie wiersza Tiutczewa w kol. 4 wiersz 28 od dołu zamiast:

„Zleją się chłodne z mórz **Achilskiem**"

powinno być:

„Zleją się chłodne z mórz **otchlińskiem**".

W drugiej kolumnie przed czterowierszem Fieta: „Powyżej chmur, rzuciwszy góry..." zamiast dwukropka powinna być — kropka.

W Nr 2 w artykule A. Serafina pomylono daty urodzenia i śmierci Verhaerena; powinno być: 1855—1916.

miasteczka

tyfus" brzuszny. Malarkę interesował problem: jak uprawiać ziemię, aby rodziła jak najwięcej ziemniaków, a były senator zastanawiał się nad tym, w jakim kierunku wyjść z miasteczka ku wsi, aby spotkać baby z masłem i mlekiem.

Życie towarzyskie potoczyło się żwawo. Ksiądz kanonik nigdy tak nie użył na bridżu jak wtedy. Wprost nie mógł nadążyć z jednej partii na drugą. Aptekarzowa nigdy nie prowadziła tak otwartego domu jak wówczas. Ziemianin spod miasteczka nigdy nie mógł uchodzić za równie „obywatelsko nastrojonego" jak wtenczas. Przecież to tak łatwo było cisnąć zbiedzonemu inteligentowi jaki taki kęsek, aby móc potem wymagać dozgonnej wdzięczności. Prowincjonalne panny nigdy nie miały tylu towarzyszy spacerów na stację kolejową lub nad rzekę. I nigdy tyle prowincjonalnych panien nie wyszło za mąż za „przybyszów z dużego miasta".

Działały tajne komplety rozbudowane w końcu do rozmiarów gimnazjum, były literackie wieczory i satyryczne szopki „Gwiazdki" i „Święte Mikołaje"... Prowincja żyła innym niż dotychczas życiem.

Gdy w Stalingradzie ulica za ulicą przechodziła z rąk do rąk, gdy na bruk waliły się mury obryzgane krwią zdobywców i obrońców, — miasteczko zasypiało co noc pod opieką św. Floriana.

Od czasu do czasu warkot samochodów rozrywał ciszę. Smugi reflektorów krajały niebo przerywając sen ludziom strudzonym. Drzwi domów drżały pod ciosami kolb i butów. Hełmy migotały w idyllicznych opłotkach. Z pokoików pachnących pelargonami wychodzili pod eskortą bladzi młodzieńcy.

A potem znów było cicho, codziennie. Tylko serca żyły nadzieją, tylko myśl buntowała się rozpaczliwie, tylko w kościele westchnienia były gorętsze i łzy częstsze. Dzwonnice milczały jak zaklęte. Wyrwano wieżom dzwony, a dzwonom serca. Dzwony głoszące do niedawna „Anioł Pański" — obecnie w formie pocisków wylatywały z armatnich lub na polach walk pod Wiaźmą, Kurskiem, Bardią czy Tobrukiem.

Jarmarki odbywały się pod kontrolą przyjezdnych żandarmów.

Pewnego dnia wyprowadzono z miasteczka wszystkich Żydów. Wyjechali z przerażeniem w zapłakanych oczach i już nigdy nie powrócili. Domy ich poczęły znikać jeden po drugim. Miasteczko w szczegółach zmieniało swój wygląd.

Pewnego, któregoś tam z rzędu lata, znów ciemność zaczęła pulsować jak krew skroniach chorego człowieka. Tym razem nie „od Węgier" — ale od Wschodu. Gotowało się jak w garnku. Niebo wrzało odgłosami dalekich kanonad. A w pobliskich lasach roiło się od partyzantów. Miasteczko puchło niepokojem w letnie, krótkie noce. Okupanci pędzili ludność do kopania rowów, wyrywali z łóżek, bili, gonili po ścieżkach i ogrodach.

Okopy! Okopy! — Arbeiten! Schnell! Schnell! Schneller!... kopane przez szereg miesięcy rowy posłużyły im za miejsca wiecznego spoczynku...

Nad miasteczkiem załapatały biało-czerwone sztandary. Powrotna burza przewaliła się z hukiem katiuszy i wsiąkała w zachodni horyzont. Miasteczko jęło pustoszeć. Profesorowie, docenci, radcy, urzędnicy, magistrzy i studenci wyjechali do miast, zniknęli, przepadli. „Przeminęło z wiatrem"... Zrobiło się znów tak samo jak „wtedy" — gdy na krawędzi groźnych dni kwitła i pachniała maciejka i nikocjana. I ksiądz kanonik nie ma już tylu partnerów do bridża i aptekarzowa już nie urządza hucznych imienin, ziemianina tylko nie ma. Pojechał do miasta walczyć razem z inteligentem o kawałek przydziałowego chleba. Na ulicach miast toczy się spieniona fala powojennego życia... W pelargoniowym miasteczku opadają z drzew ostatnie liście, rynek tonie w błocie — a wczesne wieczory opadają zwałami mgły na drewniane domki.

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

O MUZYCE JUGOSŁOWIAŃSKIEJ

PSYCHIKA NARODU ŹRÓDŁEM MUZYKI

Muzyka jugosłowiańska, a zwłaszcza ludowa (stanowiąca zresztą zasadniczy zrąb i najbogatsze źródło muzyki jugosłowiańskiej w ogóle) posiada swoją głęboką podstawę w psychice samego narodu. Albowiem ten tylko naród, który skłonny jest do zdrowego sentymentalizmu i posiada dyspozycje do namiętnej miłości Wschodu, uwydatniającej się w tzw. „sevdahu", a ponad to odczuwa coś więcej, coś, co można wyczuć, ale czego nie podobna objaśnić, naród posiadający silne i instynktowne poczucie przyrody może stworzyć taką muzykę, jaką jest muzyka jugosłowiańska. Wszystkie swoje sprawy wewnętrzne i wszystkie nastroje: radosne czy smutne, ból swój i mękę, swoją miłość i tęsknotę — wyraził naród jugosłowiański w swojej muzyce, która jedna zdolna jest do prawdziwego wyrażania duszy narodu. A kiedy porównamy jugosłowiańską muzykę ludową i narodową z muzyką narodów Zachodu, zobaczymy, o ile wyżej stoi muzyka jugosłowiańska pod względem siły swojej ekspresji.

PIERWSZE PRZEJAWY

Zarówno swoją budową, jak i rytmiką, tonika i formą różni się jugosłowiańska piosenka ludowa od muzyki zachodniej. Krótka treść, dziwne i zajmujące rytmy, częsta zmiana taktu, zakończenie melodii na drugim stopniu skali, w sensie tonalnym przeważający charakter molowy, posiadający punkty styczne z właściwościami stałych skal muzyki kościelnej, a wreszcie asymetria w formowaniu postaci, oto najważniejsze cechy jugosłowiańskiej muzyki ludowej.

Wyrosła w głębi warstw narodu jugosłowiańska muzyka ludowa rozwijała się w ciągu wieków, żeby przed sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu laty wypłynąć na światło dzienne i dać się poznać w formie przystępnej dla ludzi zajmujących się muzyką w ogóle. Przyczyniły się do jej wydobycia współczesne jej idee i prądy. Pod wpływem romantyzmu, który pomiędzy innymi głosił przewagę uczucia i wyobraźni nad rozumem, powrót do przyrody, kult prostego ludu i jego wiary, zjawiło się zainteresowanie dla poezji ludowej, a wślad za tym i dla muzyki ludowej. Niebawem muzyka ta stała się podstawą, na której rozwinęła się jugosłowiańska muzyka artystyczna.

Prymitywne i skromne początki sztuki muzycznej wśród serbskiej części narodu jugosłowiańskiego przypadają na lata trzydzieste ub. stulecia. Jeśli przeprowadzimy paralelę z wydarzeniami muzycznymi w Europie, będzie to czas bezpośrednio po śmierci Beethovena, kiedy na Zachodzie powstaje wielka opera typu francuskiego z Mayerbeerem na czele, czas kiedy powstaje Berliozowa „Symfonia fantastyczna", oznaczająca w muzyce symfonicznej zerwanie z szablonem i przejście do stworzenia muzyki programowej. Jest to okres najwspanialszy działalności Mendelsohna i początków twórczości Wagnera i Szopena. W tym właśnie okresie żywego i bujnego rozwoju życia muzycznego w Europie, muzykę w dopiero co oswobodzonej spod jarzma tureckiego Serbii uprawiają w sposób prymitywny i niezręczny kapelmistrze książęcych orkiestr wojskowych, przeważnie Czesi i inni cudzoziemcy.

IMPULSY ROMANTYCZNE

Dopiero w pięćdziesiątych latach ubiegłego wieku, w myśl haseł romantycznych, a pod wpływem **Vuka Karadzicia,** sławnego reformatora języka i literatury serbskiej, **Korneliusz Stanković** (1831—1865) zaczyna notować melodie ludowe i harmonizować je na chór wielogłosowy lub solo z towarzyszeniem fortepianu. Ale Stanković nie posiadał w sobie siły potrzebnej do doprowadzenia idei nacjonalizmu muzycznego do jej definitywnej realizacji. Działalność jego ma znaczenie pewnej nowej orientacji pod względem kierunku, w którym powinna pójść muzyka artystyczna w swoim dalszym rozwoju. Zajmującym jest zjawisko, że w tym samym czasie zjawił się u Chorwatów **Vatrosław Lisinski** (1819—1854), który stworzył podstawy nacjonalizmu muzycznego wprowadzając do swoich oper melodie ludowe. Dotychczas bowiem, jakkolwiek u Serbów rozwój muzyki szedł już w kierunku nacjonalizmu muzycznego, u Chorwatów i Słowieńców dominowały wpływy muzyki włoskiej i niemieckiej; to też ideały muzyki narodowej Lisinskiego doszły do swego pełnego wyrazu dopiero w najrozmaitszych czasach i to w dziejach najmłodszej generacji muzyków.

W ślad za Stankoviciem zjawił się wśród Serbów cały szereg muzyków pochodzenia słowiańskiego, przeważnie Czechów; z szeregu tych na specjalną uwagę zasługuje Słowieniec **Jenko Davorin** (1835—1914), którego chóry posiadają siłę i bezpośredniość patosu w stylu Griega, podczas gdy świeżość jego melodyki wznosi się do wyżyn Smetany.

POCZĄTKI ARTYSTYCZNEJ MUZYKI U PRAWOSŁAWNYCH SERBÓW

Początek pierwszej i właściwej szkoły serbskiej artystycznej, reprezentują **Józef Marinković** (1851—1931) i **Stefan Mokranjac** (1885—1914). Twórczość muzyczną podejmują oni od tego miejsca, w którym przerwał ją Stanković.

Romantyk, szeroka słowiańska dusza i poetyczna natura, muzyk-twórca o wybitnej oryginalności, szerokiej melodycznej inwencji i bezpośredniości wyrazu, pełen poczucia dokładnej akcentuacji języka serbochorwackiego — Marcinković wykuł swe dzieła przedstawiające dwa kontrasty: cichą sentymentalność i lotną bujność przy ogniu szczerego i uczciwego natchnienia. Pod wpływem chóralnego stylu kompozytorów czeskich 40-tych lat ubiegłego wieku daje Marcinković budowę homofoniczną bez kontrapunktu w najściślejszym tego słowa znaczeniu, opartą na bazie połączeń harmonicznych, raczej dogmatycznych, niż psychologicznych. Jego chóry męskie — przede wszystkim „Narodni zbor" i „Junaczki poklicz", — w których tak krzepko, ogniście i z polotem wyraziło się jego wielkie i szczere uczucie patriotyczne, przyczyniły się w wielkiej mierze do obudzenia i wzmocnienia świadomości narodowej w okresie poprzedzającym walki o niepodległość i zjednoczenie.

Raczej harmonizator niż oryginalny twórca posiada **Stefan Mokranjac** ogromne znaczenie dla rozwoju muzyki serbskiej. Wykształcony muzycznie w Lipsku, Monachium i Rzymie, znakomity znawca klasycyzmu, romantyzmu, neoromantyzmu i muzyki rosyjskiej, poświęcił Makranjac całe swoje życie badaniu wewnętrznych prawideł muzyki serbskiej, przemierzając wzdłuż i wszerz całą ziemię serbską i tu, u źródeł, szukając i badając melodie ludowe. W Południowej Serbii znalazł wielką ilość nieznanych i niesłychanie pięknych pieśni ludowych, które, zapisane przez niego, wniosły niebawem nowe elementy rytmu i melodii do muzyki nie tylko serbskiej i jugosłowiańskiej, ale i do całej muzyki europejskiej. Badając je i opracowując na chóry wielogłosowe, wyprowadzał Mokranjac specjalne prawidła serbskiej harmoniki tonicznej, otwierając w ten sposób szerokie pola modernistycznej jugosłowiańskiej muzyce instrumentalnej, którą miała stworzyć następująca po nim generacja. Harmoniczna i artystyczna koncepcja serbskiej muzyki artystycznej, którą dały talenty późniejsze, posiada swój punkt wyjścia w tzw. „Rukovetach" (wiązankach) Mokranjca, utworach na chór mieszany, uwydatniających w sobie całe specyficzne piękno i siłę serbskiej i jugosłowiańskiej muzyki. Dzieło Mokranjca przedstawia najbardziej zdecydowany i największy rezultat w rozwoju muzyki serbskiej.

KONTYNUATORZY

Z Marinkoviciem skończył się okres opracowywania czysto wokalnej, niemal wyłącznie chóralnej muzyki serbskiej. Kompozytorzy tego okresu zrozumieli należycie to, co leży w naturze samego rozwoju, a mianowicie, że po przez opracowany pierwiastek lokalny dochodzi się do złożonych form instrumentalnych. Tym tylko wytłumaczyć można, że kompozytorzy ci, w większości przypadków, nie starali się wejść w skomplikowaną architekturę form instrumentalnych, żeby w niej może nie zbłądzić. Po przez opracowany pierwiastek wokalny Marinkovicia, a jeszcze bardziej Mokranjca. Tego rodzaju logika ewolucji doprowadziła do kierunku instrumentalnego u tych kompozytorów, którzy podjęli dzieło Mokranjca.

W szeregu tych ostatnich baczniejszą uwagę zwrócili na siebie **Stanisław Biniczki i Piotr Krstić.** Obok muzyki wokalnej uprawiają oni muzykę symfoniczną, działając przeważnie, z większym lub mniejszym powodzeniem, na polu twórczości muzyczno-dramatycznej.

Współcześni najmłodsi kompozytorzy serbscy dzielą się na dwie grupy: generację starszą reprezentują **Piotr Konjowić** (autor znakomitej opery „Kosztana"), **Stefan Hristić, Miloje Milojević i Kosta Manojlović.** Wykształceni za granicą na muzyce niemieckiej, romańskiej lub czeskiej w zakresie swojej twórczości muzycznej dążą do tego, by treść swoich natchnień narodowych zrealizować przy pomocy umiarkowanej modernistycznej techniki europejskiej. Generacja młodsza, wykształcona w Pradze i Białogrodzie, z orientacją lewicową, dojdzie napewno do pozytywnych rezultatów, o ile odnajdzie siebie w nieco chaotycznym życiu dzisiejszej modernistycznej muzyki Europy.

WŚRÓD KATOLICKICH CHORWATÓW

Po Vatrosławie Lisinskim muzyka chorwackiej części narodu jugosłowiańskiego rozwijała się pod silnym i przemożnym wpływem muzyki włoskiej i niemieckiej. Ten okres ekslektyzmu muzyki chorwackiej wypełniła niezawodnie płodna twórczość kompozytora operowego **Jana Zajca,** oraz szeregu mniej ważnych kompozytorów. Dopiero około roku 1916 zjawił się wśród Chorwatów prąd neonacjonalistyczny, którego ideologiem był **Antoni Dobronić.** Podstawową cechą jego twórczości było: pogłębienie właściwości rasowych jugosłowiańskiej muzyki narodowej przy pomocy zupełnie prymitywnej techniki. Największej elementarności i siły rasowej posiada w swojej muzyce **Józef Slavenski,** którego kompozycje grane są i podziwiane za granicą. Obok chórów i utworów kameralnych stworzył Slavenski szereg kompozycyj symfonicznych ze sławną „Bałkanofonią" na czele. Swoje bezkompromisowe stanowisko lewicowe zajął Slavenski spontanicznie i naturalnie jeszcze przed studiami muzycznymi, wskutek czego naturalizm jego i prymitywizm są nawskroś impulsywne i wyraziste.

Mniejszą orientacją na lewo odznacza się **Jakób Gotovac,** kompozytor utworów chóralnych, symfonicznych i jednej ale znakomitej opery „Morana". Oprócz motywów wziętych z muzyki ludowej opracowuje Gotovac pomysły własne, oryginalne, które dzięki znakomitemu rytmowi i znajomości akcentuacji języka, jako też stosunkom interwałowym sprawiają, to, że, jakkolwiek zupełnie oryginalna, muzyka Gotovca nie różni się od ludowej.

Inny kompozytor Zlatko Grgoszević, wybitny liryk, kompozytor wyłącznie wokalny, komponuje jugosłowiańskie obrzędy ludowe, odznaczając się prostym stylem i płynącą gładko w czystej diatonice melodią.

Oprócz tych dwóch kompozytorów wymienić trzeba jeszcze: **Franciszka Lhotkę, Bożidara Szirolę, Kreszimira Baranovicia, Marka Tajczevicia i Borysa Papandopulo.**

MUZYKA SŁOWIEŃSKA

Kultura muzyczna Słowieńców, trzeciej części składowej narodu jugosłowiańskiego, znajdowała się, z małymi wyjątkami, pod stałym wpływem muzyki niemieckiej. Najstarszym kompozytorem wśród Słowieńców był **Jacobus Gallus** (1550—1591), współczesny Palestrinie. On to dał wyraz skomplikowanej, na kontrapunkcie opartej technice szkoły irlandzkiej, interpretując tekst tak, że polifonia przestała być dla niego celem a stała się środkiem dla wyrazu artystycznego w sensie modernistycznym. Po szeregu kompozytorów tworzących pod wpływem muzyki niemieckiej, twórcą nowego, narodowego kierunku w muzyce słowieńskiej był **Maciej Hubad** (1866), który pierwszy zaczął opracowywać słowieńskie melodie ludowe, oraz założył w Lublanie towarzystwo muzyczne p. n. „Glasbena Matica". Dzisiaj posiadają już Słowieńcy cały szereg mniej lub więcej utalentowanych naśladowców i uczniów Hubada.

Stanisław K. Papierkowski

LIST DO REDAKTORA „ZDROJU"

O beletrystyce nie umiem ani pisać, ani mówić. Ładna powieść przykuwa do siebie moją uwagę i każe się lubić. Ale do takich powieści nie mogę zaliczyć „Nauczycieli" Stanisława Łukasiewicza.

Wiele tworów życia społecznego doby przedwojennej, więc i szkoła, zasługiwało niechybnie na satyryczną chłostę, ta jednak książka, to ani satyra, ani nawet karykatura, ale po prostu grubo ciosany paszkwil.

Nie jestem „rdzennym lublinianinem", ale w utworze tym widzę niezwykle ponury cień Lublina z przed września 1939 r. Nie było to wesołe środowisko, ale na pewno nie tak makabryczne. Wprawdzie autor przemilcza nazwę miasta, na którego tle rozgrywa się akcja „Nauczycieli", ale nie można mieć wątpliwości, że chodzi mu właśnie o Lublin.

Zamiast ciętej satyry, skrzącej się humorem i ironią, mamy przed oczami.. porachunki osobiste, urozmaicone pornografią ordynarnej jakości.

Jest bardzo zdrowo opukać młoteczkiem różne lokalne postacie posągowe i wyczuć subtelnym uchem, są li „dęte czy lane". Poczucie humoru jest konieczne. Ale to już nie humor, gdy np. o inwalidzie wojny światowej, wielekroć operowanym i pozbawionym dawnej lekkości ruchu, powiesz: „gruby chłop o tęgim karierowiczowskim karku i tłustej twarzy". Dodajmy, że ten „dyrektor Szkoły Ludowej" na zawsze się zasłużył wobec Lublina kulturalnego, jako świetny organizator i wydawca pierwszorzędnych publikacyj zbiorowych, niezmordowany inicjator różnych prac naukowych, wzór prawdziwego społecznika.

Autor mówi raz o przyjeździe do tutejszego uniwersytetu z odczytem znakomitego filologa. W auli każe matadorów miasta usadowić twarzami do publiczności. Licentia poetica dość zabawna, jak i wtedy, gdy zarozumiałe studentki prowincjonalne odwracają oczy od „nieuczonych" przechodniów na ulicy...

Dostojnego gościa wita mową miejscowy profesor. Mową niemal naiwnie hołdowniczą. W istocie rzeczy mówca był kilkoletnim nad Newą uczniem, i to bliskim, głośnego filologa, który aż do śmierci trwał z nim w kontakcie, chciał go z Lublina zabrać i żywo cenił jego oryginalny dorobek naukowy. Ba, ale dla Ładowskiego—literata cały wydział humanistyczny jest godny pogardy, przecież wyraźnie „wstydził się przyznawać do tego, że jest na polonistyce".

Autor wiernie wyraża (przez usta Ładowskiego) stanowisko szerokiego ogółu „inteligencji" wobec studiów humanistycznych. Kultura duchowa, szczególnie w postaci naukowej, nie cieszy się u nas żadnym „respektem". Robimy wszystko, ażeby przynajmniej wśród Słowian zdobyć sobie pierwsze miejsce w szeregach ignorantów wartości rzetelnie kurturalnych.

L. B.

Książka o wielkim sercu

Motto:

„Najpotężniejsze uczucie szczęścia odczuwamy wówczas, gdy z siebie coś dajemy" (Ludwik Hirszfeld).

Postać autora „Historii jednego życia" (Żywoty nieurojone — „Czytelnik" — 1946) wyłania się wyraziście na tle Lublina — ze wspomnień niedalekiej przeszłości.

Przypadły bowiem naszemu miastu w udziale ten zaszczyt i szczęście, że w murach jego nowopowstałego Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej zabrzmiały z zawsze jednakowo bezpośrednią i fascynującą mocą słowa pierwszego — po zerwaniu dławiącego knebla niewoli — wykładu profesora Hirszfelda.

Wzięły one pod swe panowanie nie tylko adeptów nauk medycznych, lecz i laików, na ich bowiem potencjał składają się w równej mierze głęboka wiedza, jak i głębokie człowieczeństwo.

I taki sam urok mają dla każdego przelane na papier słowa „żywota nieurojonego", opowieści owianej aurą najszlachetniejszego humanitaryzmu, a pisanej atramentem krwi serdecznej, mieniącym się żywą i gorącą barwą idei, osiągnięć, radości i cierpień.

Autor zaznacza w przedsłowiu, że nie ma pretensji literackich, ani nie jest historykiem — chce tylko rzucić na tło przełomowej epoki obraz życia człowieka oddanego wiedzy z wiarą, że winna ona być troskliwą ogrodniczką ludzkich dusz.

Droga opowieści nie zbaczając na zawiłe ścieżki literackiego psychologizmu i pięknosłowej fantazji, czy też objektywnej, chłodnej historiozofii jest jasna i prosta — wiedzie do serc.

Życie profesora Hirszfelda, a tym samym i książka — jako jego utrwalony drukiem wyraz — tętni bogactwem pragnoeń i osiągnięć, przenika je nieustanne dążenie do osiągnięcia pełni.

Wytyczną jego jest naukowa praca badawcza, której wyniki — głównie w dziedzinie badania grup krwi opromieniły skronie profesora aureolą wszechświatowej sławy i uznania.

Wiedzy wręcza profesor Hirszfeld egidę doskonalenia i uszczęśliwiania ludzkości — pragnie, by z cichej pracowni uczonego promieniowała ona dobrotliwie na cierpiące ciała i dusze.

Działalnością naukową całego swego życia wciela te postulaty w czyn — zwalczając wraz z dzielną swą żoną epidemię duru plamistego w Serbii w czasie wojny światowej, bądź też w czasie okupacji w getcie warszawskim.

Stawką w tej walce było często własne życie, lecz nie mógł jej się przestraszyć ten, którego dewiza brzmiała: „Człowiek idzie za głosem wewnętrznego musu, choćby miał to przypłacić życiem".

Hasło to rzuca młodzieży stojącej u progu swych poczynań.

Praca pedagogiczna profesora pulsuje entuzjastycznym wysiłkiem: rozbudzić i uświadomić zamiłowanie do działalności badawczej wśród młodyych, a przewodnikom ich wskazać metody stworzenia sprzyjającego temu klimatu duchowego. A „Historia życia" widnieje dziś na drodze jednych i drugich jak jasny drogowskaz.

Ale to nie jedyne jej zadanie.

Przychodzą najcięższe chwile, gdy musi stać się oskarżycielką nauki, którą wielbiła jako najszlachetniejszą rzeźbiarkę dusz.

Nauka staje się bowiem w rękach narodu, który uważał siebie za wybrany do panowania nad światem, narzędziem potwornej, masowej zbrodni, nie mającej precedensów w dziejach.

Głęboko wyryte w sercu obrazy niemieckich profesorów, z których szczególnie dwóch pokochał niegdyś młody Ludwik Hirszfeld, jako przewodników wiodących go na wyżyny ducha i wspomnienia Heidelbergu owiane poezją młodości — przesłania złowrogi cień niemieckiego żołdaka - okupanta. Wielokrotnie potępiono już upodlenie nauki niemieckiej na usługach zbiorowego zbrodniczego zaślepienia w dobie ostatniej wojny.

Tym razem jednak oskarżenie jest specjalnie znamienne.

Pada z ust wielkiego uczonego, w którego bilansie osiągnięć naukowych najpoważniejsze pozycje przypadają na czas studiów w Niemczech, z ust człowieka który był zawsze rzecznikiem porozumienia i współpracy międzynarodowej.

I dlatego jego oskarżenie brzmi jak głos sumienia świata. Miecz karzącej sprawiedliwości powinien zawisnąć nad całym narodem niemieckim, gdyż „są chwile w życiu narodu, kiedy nie wolno milczeć jeśli się nie chce stać współwinnym" — godząc jednak swym ostrzem w tych, którzy stworzyli naukowe podstawy morderstw.

W tym brzmiącym tragiczną nutą rozdziale życia prof. Hirszfelda wyłaniają się jego nowe misje.

Chrześcijanin — Żyd z pochodzenia — niesie ukojenie w cierpieniach narodowi żydowskiemu, zepchniętemu butem najeźdźcy na dno ziemskiego piekła. Ocalony z niego niemal cudem odtwarza krwią i łzami kreślony wizerunek, budzący grozę swym nie mającym odpowiedników autentyzmem. Daje świadectwo straszliwej prawdzie.

I tu „Historia jednego życia" staje się wiarogodnym dokumentem gehenny, upodlenia, bojowego zrywu i zagłady getta warszawskiego.

Ponure jej karty rozwijają się nagle jak sztandar — autor wspomina swą walkę o godność człowieka.

Poddając na tajnych wykładach i kursach naród żydowski słusznej krytyce, stara się z niego zdjąć hańbiące piętno — absurdalnej naukowo teorii rasizmu i wskazać konieczność wewnętrznej odbudowy.

A dzisiaj z perspektywy tych przeżyć wyraża swą głęboką nadzieję, iż „zniknie uczucie niższości żydów w imię wielkich haseł równości i miłości bliźniego"

Na tle zaś tamtych chwil zarysowuje się szczytne motto — człowiek zawsze i wszędzie musi zachować swe człowieczeństwo, i godnie wyjść naprzeciw śmierci.

Tchnienie jej owiewa ostatnie rozdziały tego nieurojonego żywota.

Zabrała wielu spośród bliskich profesora Hirszfelda — krewnych i pełnych poświęcenia współpracowników. Nie oszczędziła i młodziutkiej, jedynej córki profesora.

Wszystkim niemal nie dane było spocząć spokojnie w ziemi i dla tych męczeńskich prochów, miotanych po świecie wiatrami, książka stała się — zgodnie z serdeczną intencją autora — nagrobkiem i pomnikiem.

Joanna Modrzejewska

Wyznawcy złych bogów

Konrad Algermissen w wydanej w połowie zeszłego roku broszurze pt.: „Nietzsche und das Dritte Reich" (Niemcy a III Rzesza) pisze o „etyce panów", proponowanj przez filozoficznego antenata hitleryzmu: „Obywa się ona bez wiary w duszę i grzech. Mają w niej znaczenie nie duch i sumienie, lecz wola i popędy, nie tradycja kultury, ale dzikość natury". Słowa te nasuwają się w związku z publikacją „Czciciele gwałtu i podstępu", która ukazała się świeżo w Wydawnictwie Zachodnim w Poznaniu*). Niewielka, lecz niezwykle treściwa książka przynosi szereg cennych artykułów i wyjątków z poważnych dzieł zagranicznych, zajmujących się problemem Niemiec. Niektóre z nich są specjalnie ciekawe, bo podejmują próbę rozprawienia się ze światopoglądem niemieckim na nieco wyższej płaszczyźnie, niż to jest na ogół (szczególnie u nas) we zwyczaju.

Przede wszystkim zwracają uwagę wyjątki z książki pt.: „Lettres a un ami allemand" Alberta Camus, francuskiego filozofa, dramaturga i eseisty, założyciela pisma „Combat", czołowego organu ruchu oporu w czasie okupacji. Camus jest typowym intelektualistą francuskim, który nie dając się unieść uczuciu nienawiści, żarliwie poszukuje prawdy i sprawiedliwości. Przeciwstawiając francuski pogląd na ideę ojczyzny i państwa, na heroizm i czyn zbrojny, wartość ducha i inteligencji, kultury europejskiej i człowieka — niemieckiemu przebóstwieniu państwa, idącego w parze z pogardą ludzi i ich szlachetniejszych dążeń, pisze między innymi zwracając się do swego „niemieckiego przyjaciela": „Nigdy nie wierzyłeś w sens, który jest przecież treścią świata i wnioskowałeś mylnie, że wszystko jest równowartościowe, że do dobra i zła można podchodzić z subiektywnego punktu widzenia. Zaprzeczając ludzkiej czy boskiej etyce, chciałeś uznać jedynie te wartości, które panują w świecie zwierzęcym: gwałt i podstęp. Opierając się na długich twierdzeniach, dowodziłeś, że człowiek jest niczym, że duszę jego można zabić tak, jak jego ciało i że w tej bezsensownej historycznej rozgrywce jednostka służy jedynie kaprysom siły, a jej moralność jest wynikiem postępowania zwycięzcy". I tak dalej: „Jeszcze raz: wybraliście nie sprawiedliwość i wyznawaliście bogów zła. Ja natomiast, aby pozostać wiernym człowiekowi i ziemi, wybrałem sprawiedliwość".

Nie od strony etyczno - filozoficznej, lecz od historycznej podchodzi do Niemców lord Vansittart w swej przedmowie do książki Knight — Pattersona „Germany from Defeat to Conquest" (Niemcy od klęski do podboju). Sięgając do epoki obłudnika i „dobrego" Niemca owych czasów Stresemanna, stwierdza, że „Wielka Brytania i Stany Zjednoczone wpadają od czasu do czasu w obłąkanie na temat Niemców i Niemiec". „Jak widać — piękny przykład samokrytycyzmu, podyktowany zresztą niemniej słusznym „odkryciem" (w Anglii jest to odkryciem!), że „każdy, kto sądzi, że Niemcy są podobni do innych ludzi, a są tylko źle kierowani, jest wrogiem swych bliźnich".

Na innym — rzecz oczywista — stanowisku stoi J. R. Becher, prezydent „Związku Kulturalnego dla Demokratycznego odnowienia Niemiec", który w dziele pt.: „Erziehung zur Freiheit" (Wychowanie ku wolności) konkluduje, że „dobro w narodzie niemieckim jeszcze żyje... Należy wychować nowych niemieckich ludzi". W końcu zaklina: „porzućcie zniszczenie. Koniec pierwszej połowy 20 stulecia musi zamknąć tragedię Niemiec na zawsze. Pamiętajmy o poległych i przyszłych pokoleniach. Pozwólcie, by Niemcy stały się Niemcami. (?) Muszą do być Niemcy zgodne, jednolite". W tym miejscu wydawnictwo umieściło następującą słuszną uwagę: „Wątpić można, czy wszyscy Niemcy to wezwanie Bechera zrozumieją — demokratycznie".

Część pierwszą „Czcicieli gwałtu i podstępu" pt.: „Istota problemu" zamyka „Czy jedna utopia więcej?" — projekt Leopolda Schwarzschilda, Niemca z pochodzenia, który jeszcze podczas wojny wypracował plan „totalnej okupacji" Niemiec oraz „Podstawowe prawa narodu niemieckiego" v ujęciu SED (Socjalistycznej Partii Jedności) a stanowiące niejako zrąb przyszłej niemieckiej konstytucji.

W części drugiej „Życie polityczne" „Manchester Guardian" zajmuje się sprawą jedności Niemiec, a „Berliner Zeitung" omawia zbliżenie się kościoła ewangelickiego do SED i odwrotnie.

Niesłychanie ciekawe są wynurzenia belgijskiego pisma komunistycznego „Drapeau Rouge", które łudząc się „na czerwono" na temat Niemców (pokłada nadmierne nadzieje w niemieckich klasach robotniczych i ich wyrobieniu politycznym) popada w iście anglosaską przesadę pisząc, „o tłumie kobiet w żałobie, tragicznych, z oczami zdolnymi tylko do płaczu, zgiętych pod wpływem mistycyzmu (?), zwiększonego nieszczęściem i niedawnym przerażeniem i matek, matek, matek przede wszystkim, matek tych szkieletowatych dzieciaków, które chwytają was za rękaw prosząc o papierosa, żeby się „sztachnąć", które boją się zginąć z głodu". Wszystko to jest grubą przesadą. Z autopsji mogę zaświadczyć, że choć zjeździłem Niemcy zachodnie i południowe wzdłuż i wszerz, nigdzie nie widziałem „szkieletowatych dzieci", a dzieciaki proszą z reguły nie o papierosy lecz o czekoladę.

Niemieckim żalom, że się wojny nie wygrało (nie, że się narobiło tyle zła, bynajmniej!) dają doskonały wyraz spisane w celi norymberskiej uwagi, które przekazał Goering, nim się otruł, przedstawicielowi amerykańskiej agencji prasowej „International News Service". Piszącemu o „przegapionych" okazjach wygrania, Goeringowi wyrywają się co chwilę takie powiedzenia, jak: „Ten piękny plan jednak zawiódł", „Takie były trzy wielkie sposobności, które zmarnowaliśmy, a które mogły były dać nam zwycięstwo. Mam nadzieję, że inni wyciągną z tego lekcję.." (!!!) itp. Poza tym Goering daje godne uwagi rozważania i wyznania natury strategicznej, oświetlając niejedno, co dotychczas było niezrozumiałe np. bliższe powody odebrania naczelnego dowództwa Brauchitzschowi w 1941 r.

Charakterystyczne są też angielskie relacje z obozów Fallingbostel i Nieder Roden, gdzie hitlerowcy i SSmani pędzą sielankowy żywot, wyglądając „zdrowiej i dostatniej niż ich politycznie nieobciążeni rodacy w wielkich miastach strefy brytyjskiej."

Dowodem małej odporności psychicznej i moralnej pokonanych Niemców są artykuły szwedzkiej „Morgen Tidningen" (Wszyscy Niemcy chcą emigrować) oraz dwóch gazet amerykańskich na temat chorób wenerycznych, prostytucji i stosunków niemieckich Fräulein z Murzynami.

Opinie o procesie norymberskim (rozdział IV) pism sowieckich, polskich, francuskich i angloamerykańskich zamykają pasjonującą lekturę „Czcicieli gwałtu i podstępu". Rzadko można znaleźć książkę, która na kilkudziesięciu zaledwie stronicach podaje tyle, mało albo wcale nieznanych, faktów, a przede wszystkim tyle materiału do przemyśleń — od polityki do psychologii i etyki.

Egon Naganowski

*) Nr 2 cyklu „Świat o Niemczech i Niemcach" Poznań 1946. Wydawnictwo Zachodnie str. 52 + nlb. Cena zł. 80.

Wydawnictwa A W i R-u

— **Zbigniew Grabowski** „ANNA", powieść, Katowice 1946 r. str. 193. Zbigniew Grabowski, autor głośnej przedwojennej książki „Ciszy lasu i Twojej ciszy", rysuje w swojej nowej powieści kapitalną sylwetkę dyplomaty Rogera, zagubionego w poszukiwaniu najgłębszej miłości, w pogoni za nową pełnią życia, której po utracie Anny nie potrafi mu dać dumna Charlotte ani młodzieńcza Yvonne... Akcja tej powieści reprezentującej wysoką klasę literacką, rozgrywa się w Alpach szwajcarskich, w atmosferze górskich szałasów, schronisk i hoteli, w nieustannej walce przeciw dzikiej przyrodzie i bezwzględnej miłości.

— **Juliusz German** „KRÓLEWNA I JEJ PANNY", powieść, Katowice 1946, str. 310. Powieść tę napisał autor „Iwonki" w czasie wojny. Przedstawił w niej nieznaną prawie i zapomnianą histrię Katarzyny Jagiellonki, siastry Zygmunta Augusta, która wydana za księcia Jana z Finlandii towarzyszyła mężowi do jego rodzinnego kraju i dzieliła z nim burzliwe i ciężkie jego losy. Płynie z kart tej powieści krzepiąca i pogodna promienność mimo, że akcja pełna jest rzeczy groźnych i niesamowitych. Autor „Amarantów" okazał raz jeszcze swój nieprzeciętny talent pisarski.

— **Alfred Bronowski** „TRZY SIOSTRY", powieść, Katowice 1946, str. 206. Jest to powieść obyczajowa, której akcja rozgrywa się w okupowanej przez Niemców Warszawie. Autor odsłania w niej tragedię środowiska rodzinnego, w którym obok postaci z charakterem i pionem moralnym znaleźli się ludzie pozbawieni wszelkich skrupułów. W życie rodziny zajętej bezustanną pogonią za złotem, wplata się dramatyczna, pełna napięcia akcja bojowników o niepodległość.

— **Magdalena Samozwaniec** „TYLKO DLA KOBIET", Katowice 1946, str. 192. Nikt nie jest bardziej uprawniony do napisania książki pod takim tytułem, jak właśnie Magdalena Samozwaniec. Przez stronice tej książki przewijają się dziesiątki postaci kobiet, kobietek i kobieciątek, otoczonych tzw. „rojem mężczyzn" wszelkiego rodzaju. Humor i sentyment, satyra i pikanteria są tu nierozdzielnie ze sobą złączone.

Głosy o „Zdroju"

Każdemu pismu zależy na tym, co myślą o nim czytelnicy i krytyka. Jeżeli idzie o nasz wznowiony „Zdrój", oba te czynniki już się — każdy na swój sposób — wypowiedziały. Czytelnicy przyjęli nasze pismo chyba przychylnie, skoro nakład pierwszych dwu numerów rozszedł się — bez zwrotów; z głosów krytyki (zauważonych) notujemy dotychczas trzy:

Chronologicznie pierwszy wypowiedział się na łamach wrocławskiego „Słowa Polskiego" p. K. T., który w artykule „Twórczość" i „Zdrój" (z 16.II.47) pisze:

„Na przestrzeni ostatnich miesięcy byliśmy świadkami wymarcia kilku regionalnych pism kulturalnych: wydawanego w Gdyni „Wiatru od morza", poznańskiego „Życia literackiego" oraz lubelskiego „Zdroju". Dzisiaj możemy zanotować wznowienie jednego z tych pism, ukazał się mianowicie pierwszy po niemal półrocznej przerwie numer „Zdroju". Po ustąpieniu poprzedniego redaktora Józefa Nikodema Kłosowskiego, redakcję wznowionego pisma objął Stanisław K. Papierkowski. Na wysoką nutę nastrojony artykuł programowy mówi o celach pisma i ambitnych zamierzeniach, które — być może znajdą realizację w dalszych numerach. „Chcemy, by „Zdrój" jako pismo literackie regionu lubelskiego był w pierwszym rzędzie odzwierciedleniem tego życia umysłowego w ogólności i literackiego w szczególności, które coraz głębszym i szerszym nurtem płynie w naszym środowisku, bez względu na zabarwienie polityczne poszczególnych tego życia twórców". Dalej czytamy jednak: „Nie zacieśniając ram naszego oddziaływania i koordynacji twórczości literackiej do życia literackiego regionu lubelskiego, chcemy być pismem rejestrującym całokształt życia literackiego w ogóle". Numer 1(26) „Zdroju" przynosi m. in. artykuł Mariana Gumowskiego o „Herbie miasta Lublina", III odcinek artykułu Narcyza Łubnickiego pt. „Materializm a idealizm" oraz szkic Pawła Gduli „Z młodości Andrzeja Struga". Stwierdzenie, wypowiedziane w artykule wstępnym, że „chcemy kulturze wszystkich narodów słowiańskich poświęcić należytą uwagę i właściwe miejsce" znajduje realizację już w pierwszym numerze. Kazimierz Andrzej Jaworski, redaktor miesięcznika poetyckiego „Kamena" pisze w „Szczytach poezji rosyjskiej" o Lermontowie, Fiecie i Tiutczewie, ilustrując swój artykuł licznymi przykładami, a Stanisław K. Papierkowski zamieszcza tłumaczenia z chorwackiego: krótką nowelę Iwana Dončevića „W pierwszych dniach" oraz wiersze Vladimira Nazora, Rikarda Nikoliča i Ante Cettineo."

Cenną jest dla nas wzmianka zamieszczona w Nr. 8 „Kuźnicy", ponieważ to właśnie pismo nie należało nigdy dawniej do zachwycających się „Zdrojem". Nie zachwyca się nim również obecnie (i słusznie, bo zachwyt przesłania rzeczywistość), ale tym razem „Kuźnica" jest bezstronna, skoro jej „przeglądacz" ph. tak pisze o pierwszym numerze wznowionego „Zdroju":

„Po długiej przerwie ukazał się pierwszy (26 ogólnego zbioru) numer lubelskiego „Zdroju". Pismo to niejednokrotnie poddawane było ostrej krytyce na łamach przeglądu prasy, głównie za regionalizm, który w „Zdroju" za poprzedniej redakcji urastał do zagadnienia centralnego, stawał się panaceum na wszelkie bóle i niedomagania kulturalne. W sumie, dzięki takiej polityce zarówno zgrupowani wokół dawnego „Zdroju" pisarze lubelscy jak i czytelnicy tego pisma, oderwali się całkowicie od wspólnych wszystkim pracownikom kultury i całej inteligencji zagadnień literackich i kulturalnych. Wstępny artykuł redakcyjny wyjaśnia nam cele i zadania zmartwychwstałego pisma. O regionalizmie kulturalnym nie ma tu mowy, to też czekajmy z zaufaniem na dalsze numery nowego tygodnika, stwierdzając jedynie po lekturze numeru pierwszego, że ograniczenie utworów oryginalnych na rzecz artykułów informacyjnych z pewnością stworzy „Zdrojowi" lepszą pozycję niż było to dotychczas. Obszerny przegląd czasopism omawia dość szczegółowo bieżącą prasę literacko-naukową. Pozostałości zamiłowań regionalnych obserwujemy w notatce o wydawnictwie „Teatr ludowy".

W ocenie tej nie rozumiemy ostatniego zdania: dlaczego bowiem omówienie „Teatru ludowego" ma być „pozostałościami zamiłowań regionalnych"?

Raczej nieżyczliwie niż przychylnie odniósł się do wznowionego „Zdroju" p. O.B. w „Tygodniku Warszawskim" z 23 lutego br. Ogranicza się wprawdzie autor notatki „Ta sama nazwa, ale czy to samo pismo?" do zanotowania narazie samego faktu ukazania się naszego pisma, ale na wszelki przypadek nie rezygnuje z przyjemności wbicia pewnej „szpileczki", skoro pisze:

„Dużą niespodzianką było ukazanie się, po dłuższej przerwie, cenionego czasopisma lubelskiego „Zdrój". Liczni sympatycy wczytywali się pilnie w nowy numer, próbując dociec na ile i w jakim kierunku linia tego pisma uległa zmianie.

Na podstawie jednego numeru trudno o zdecydowaną opinię. Wydaje się jednak, że „Zdrój" stracił wyraźnie na lekkości i atrakcyjności.

Nr. 1 zawiera cenne pozycje, jednak w całości jest raczej „przyciężki". Długie słowo wstępne od redakcji pt. „Nasze cele i zadania" budzić może pewne zastrzeżenia. Najsłabiej niewątpliwie „zrobiony" jest przegląd czasopism: obszernie ale pod znakiem „Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek". Ale raczej diabłu...

Poza tym w numerze widzimy: M. Gumowski „Herb miasta Lublina", K. Jaworski „Szczyty poezji rosyjskiej", N. Łubnicki „Materializm i idealizm" (kontynuacja), P. Gdula „Z młodości Andrzeja Struga", J. Modrzejewska „Pieczęć sprawiedliwości", recenzja z książek Dembowskiego (T Tomaszewski) i przekłady z chorwackiego (St. Papierkowski).

Na razie ograniczamy się do zanotowania faktu, że „Zdrój" powrócił do pracy. A sądzić go będziemy dopiero po tym co nam pokaże."

Pomijając fakt, że nasz „przeglądacz" czasopism (q) nie kierował się koncepcją „świeczki i ogarka", ciekawi jesteśmy, co p. O.B. — uważający omówienie: „Odrodzenia", „Kuźnicy", „Warszawy", „Myśli Współczesnej", „Teatru Ludowego" i „Teatru" raczej za „ogarek zapalony diabłu" — uważa za „świeczkę zapaloną Panu Bogu"?

Skłonni jesteśmy przypuścić, że p. O.B. przeglądał nasze pismo przy świeczce łojowej i stąd to skojarzenie „świeczki i ogarka" z naszymi intecjami, jakie sobie wyimaginował.

sp.

PRZEGLĄD CZASOPISM

— Z prawdziwą przykrością notujemy, że tak długo czekamy już na ukazanie się nowego zeszytu chełmskiej „Kameny". Ostatnim zeszytem, który oddał nam w ręce niezmordowany **Kazimierz A. Jaworski,** jest numer potrójny 8—10 (68—70), poświęcony w całości poecie rosyjskiemu Aleksandrowi Aleksandrowiczowi Błokowi.

Zarówno dobór artykułów o Błoku, jak i dobór utworów poety w przekładach najcelniejszych naszych tłumaczów literatury rosyjskiej z K.A. Jaworskim na czele — świadczą nie tylko o głębokim znawstwie, ale i o specyficznym stosunku Jaworskiego do „najczystszego liryka", który „swój pogląd na świat wcielał zawsze w kształty swoistego romansu lirycznego ze zmieniającymi się maskami bohatera i bohaterki".

„Kamena" była już niejednokrotnie przedmiotem „docinków" i „szpilek", których nie szczędzili jej i jej redaktorowi różni tzw. „przeglądacze" naszych pism. Jednej rzeczy — pomijając słuszność czy bezpodstawność wszelkich uwag o „Kamenie" — krytycy nie chcą zauważyć i podkreślić: jest nią ten trud ogromny i to niemal mistyczne umiłowanie pracy, jakie cechują Jaworskiego. Dzięki właściwościom redaktora „Kamena" nie utonęła w powodzi prasy periodycznej, jaka zalała Polskę po jej odrodzeniu. Boryka się z olbrzymimi trudnościami, trochę się spóźnia, ale żyje i — wychodzi. Najnowszy zeszyt, już złożony, czeka na druk.

— Katolickie pismo społeczno-kulturalne „Tygodnik Powszechny" nie cieszy się sympatią zespołów redakcyjnych pism o zabarwieniu lewicowym, społecznie radykalnym — będąc jednak pismem redagowanym dobrze, co przyznać musi nawet jego największy przeciwnik, a uwzględniającym na swoich łamach tematykę bardzo rozległą, cieszy się sympatią — czytelników.

W numerze 6 z 9 lutego b.r. czołowy publicysta pisma, **ks. J. Piwowarczyk** sygnalizuje w artykule wstępnym, że „gwiazda Europy blednie". Idzie tu, oczywiście, o zwrócenie uwagi na kończenie się roli dominującej Europy w stosunku do państw kolonialnych, zwłaszcza azjatyckich. Wydarzenia „w Indiach holenderskich, we francuskich Indochinach, w Indiach angielskich — proces dalszego usamodzielniania się Egiptu..." itd — wszystkie te znamienne przejawy, których jesteśmy obecnie świadkami, nazywa ks. Piwowarczyk „przebudzeniem", przynoszącym już dzisiaj „zawód" państwom europejskim, których supremacja w stosunku do kolonij i dominiów uchodziła jeszcze do niedawna za rzecz bezsporną i wskutek tego niewzruszalną. Istotnym zadaniem Europy jest — zdaniem autora artykułu — mobilizacja wszelkich sił nie w tym kierunku, by gasnący blask jej gwiazdy utrzymać, ale wysiłek zbiorowy i jedynie rozumny, by uratować zagrożooy pokój. Dlatego właśnie „w interesie pokoju trzeba sobie życzyć, by proces wyzwalania się ludów kolonialnych szedł drogą ewolucyjną i powoli. Wstrząs rewolucyjny, gwałtowny przewrót, radykalne przecięcie wszystkich nici z Europą — musiałoby zachwiać równowagą świata. Nie tylko w sensie burzy wojennej. Ale nawet w znaczeniu gospodarczego kryzysu."

— Skoro mowa o piśmie katolickim, przypomina się tygodnik „Dziś i jutro", którego sylwetkę i zamiary na najbliższą przyszłość poznajemy z wywiadu udzielonego przez B. Piaseckiego współpracownikowi „Tygodnia". Red. Piasecki zapytany, w jakim stopniu pismo jego reprezentuje poglądy Kościoła i Episkopatu, odpowiedział, że Episkopat nie jest wykładnikiem żadnej linii politycznej, wobec czego zespół redakcyjny „Dziś i jutro" prowadzi swoją działalność na własną osobistą odpowiedzialność. Jednym z celów tej działalności jest stworzenie katolickiego stronnictwa politycznego. Próby podjęte w tym kierunku, w okresie przedwyborczym nie dały wyniku, ponieważ „różne czynniki spoza redakcji uznały samą organizację stronnictwa za przedwczesną". — W ramach najbliższych poczynań przewiduje się stworzenie dziennika p. n. „Słowo powszechne", ponieważ tygodnik już nie wystarcza. Za sprawę najważniejszą w Polsce uważa zespół redakcyjny „Dziś i jutro" nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Watykanem i zawarcie konkordatu

— Odnośnie pisma, które wspomniany wywiad zamieściło w ostatnim 8 numerze z 23.II.br., przyznać trzeba, że pismo to stanąwszy mocno pierwszym swoim numerem trzyma się dzielnie. Każdy numer „Tygodnia" bierze się do rąk z przyjemnością i przekonaniem, że pomysłowa redakcja przygotowała i coś poważnego i coś lekkiego, w każdym razie szereg zajmujących ilustracyj. Numer np. 8 zawiera cenny dla śledzących międzynarodowe życie polityczne wywiad z amb. Oskarem Lange na temat Rady Bezpieczeństwa ONZ; zajmujące „Fakty i cyfry Monte Cassino" pióra **K.Z. Skierskiego** i rzecz o Ludwika Hirszfelda „Historii jednego życia", napisaną przez jednego z najwybitniejszych współczesnych felietonisów polskich, Jerzego Wyszomirskiego.

q.

Książki nadesłane

— **S. Zajączkowski,** Dzieje Zakonu Krzyżackiego, wyd. „Książka", Warszawa 1946, str. 138.

— **Adolf Rudnicki,** Profile i drobiazgi żołnierskie, wyd. „Książka", Warszawa 1946, str. 148.

— **Maria Konopnicka,** Głupi Franek — W Winiarskim forcie, wyd. „Książka" Warszawa 1946 str. 53.

— **Maria Konopnicka,** Dym — Martwa natura, wyd. „Książka" Warszawa 1946, str. 27.

— **Maria Konopnicka,** Mendel gdański, wyd. „Książka", Warszawa, 1946 str. 32.

— **Halina Górska,** Nad czarną wodą, wyd. III „Książka", Warszaw 1946 str. 176.

— **J. Stalin,** O materializmie dialektycznym i historycznym, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 47.

— **Fryderyk Engels,** Rozwój socjalizmu od utopii do nauki, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 84.

— **Adam Schaff,** Pojęcie i słowo, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 218

— **Anna Świrczyńska,** Arkona gród Świętowita, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 233.

— **W. Wasilewska,** Ojczyzna, wyd. „Książka", Warszawa 1947 str. 276.

— **Michał Hofman,** Chmura nad Bikini, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 76.

— **Janusz Korczak,** Na koloniach letnich, wyd. „Książka", Warszawa 1946, str. 151.

— **Władysław Dunarowski,** Ludzie spod miedzy, wyd. II. Sp. Księg. „Nauka", Bydgoszcz 1947 str. 274.

— **Upton Sinclair,** Nafta, tom I i II, wyd. „Książka", Warszawa 1946 str. 430 i 322.

— **Bronisław Kamiński,** Obraz człowieka, poezje, Paryż 1947.

— **S. Sempołowska,** Na ratunek, wyd. „Książka", Warszawa 1946, str. 296.

Czytajcie i prenumerujcie lubelski dwutygodnik kulturalno-literacki „ZDRÓJ"

Redaktor: Dr STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI — Wydawca: FRANCISZEK TWARDOŃ
Redakcja i Administracja: Lublin, ul. Peowiaków 5 m. 13; tel. 30-45. Redaktor przyjmuje: we środy od 15—16.
Administracja czynna codziennie od 9—13 i od 16—18 Rękopisów nie zamówionych nie zwraca się
Cena Numeru 15 zł — Prenumerata: rocznie zł 300; półrocznie zł 160, kwartalnie zł 80 —

Druk. Nr 1. Spół. Wyd. „Czytelnik", Lublin, Zamojska 24 — A-12062.